

# HONORÉ DE BALZAC

WIELKI CZŁOWIEK Z  
PROWINCJI W PARYŻU

# Оноре де Бальзак Wielki człowiek z prowincji w Paryżu

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55842802](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842802)*

*Wielki człowiek z prowincji w Paryżu:*

## Аннотация

Lucjan przybywa do Paryża. Życie w wielkim mieście znacznie odbiega od jego wyobrażeń. Mnożą się wydatki, pieniądze topnieją w zastraszającym tempie. Na domiar złego pani de Bargeton porzuca go, a żaden z wydawców nie chce przyjąć jego sonetów ani powieści. Postanawia utrzymywać się jak najskromniej, wciąż licząc na przyszły sukces i sławę. Zbyt niecierpliwy, żeby mozolnie doskonalić warsztat i wypracować powodzenie literackie, korzysta z nęcącej finansowo propozycji i zostaje dziennikarzem. Wielki człowiek z prowincji w Paryżu to druga, najdłuższa i najbardziej ceniona część Straconych złudzeń Balzaca, wydana w roku 1839. Szczególne wrażenie robi ukazane od środka cyniczne, skorumpowane środowisko dziennikarzy w okresie rodzącej się, niepowstrzymanej potęgi prasy.

# Содержание

Od tłumacza	4
Stracone złudzenia	12
Конец ознакомительного фрагмента.	131

# Honoré de Balzac

## Wielki człowiek z prowincji w Paryżu

### Od tłumacza

*Komedia ludzka* Balzaca, w której powieść niniejsza stanowi ważne ogniwo – niemal punkt centralny – posiada, niezależnie od swoich artystycznych wartości, pierwszorzędne znaczenie historyczno-obyczajowe. Wszystkie bez wyjątku siły składające nowoczesne społeczeństwo znajdują w niej swój wyraz, a ujęcie ich staje się tym ciekawsze przez to, iż pisarz miał sposobność śledzić je i odmalować w samych zaczątkach, w momencie kształtowania. W epoce objętej *Komedią ludzką* (lata 1815–1848) warsztat społeczny wyłania się stopniowo w swej nowożytnej, niemal współczesnej nam strukturze, a nie jest jeszcze tak skomplikowany technicznie, aby zmuszać pisarza do rozdrabniania się na utrudniające syntezę szczegóły. Taką siłą rodzącą się dopiero, a przeznaczoną w przyszłości do potężnej roli była **prasa**.

Omawiając na innym miejscu<sup>1</sup> **salon** XVIII w., zaznaczyłem

---

<sup>1</sup> *Omawiając na innym miejscu salon XVIII w.* – we wstępie do *Listów panny de Lespinasse*. [przypis edytorski]

nikłość funkcji, jakie pełniła wówczas prasa skrepowana tysiącnymi względami cenzury; miejsce prasy zastępowały ulotne pamflety, broszury obiegające bezimiennie, często wychodzące spod pióra największych pisarzy (Volter, Diderot), dalej korespondencja prywatna i wspomniane już salony paryskie, będące wówczas niemal instytucją. Dziennikarz zawodowy – żelzywie nazwany *folliculaire*<sup>2</sup> – otoczony dość powszechną wzgardą, znajdował się poza nawiasem społeczeństwa. Zrozumiałe jest, iż pod żelazną ręką Napoleona prasa, mimo iż wzmożona w sobie, nie mogła oddychać pełną piersią; dopiero Restauracja<sup>3</sup>, dająca początek konstytucyjnym i parlamentarnym rządóm pod berłem obłaskawionych już Burbonów, stworzyła również potęgę tego przyszłego „mocarstwa”.

Stosunki jednak panujące w królestwie prasy były dość osobliwe. Nie mogąc, jakby niewątpliwie tego pragnął, prasy zdusić, dwór starał się ją kneblować i trzymać w zależności ograniczaniem przywileju na dziennik; zbyteczne dodawać, iż przywilej taki uzyskiwali najczęściej nie ludzie etycznie stojący najwyżej, ale najbardziej sprytni i nieprzebiegający w środkach. Ta ograniczona ilość organów publicznych, w których skupiała się opinia i interesy całego wielkiego kraju, wytworzyła

---

<sup>2</sup> *folliculaire* (fr.) – pismak. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *Restauracja* – okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

kastę kondotierów<sup>4</sup> pióra toczących z sobą zajadłe walki, ale równocześnie zdolnych w razie potrzeby porozumieć się z sobą dla wspólnej korzyści. Nie od razu zresztą i dziennikarze zorientowali się w swojej rosnącej z każdym dniem potędze. Ta zgraja utalentowanych głodomorów, mających nieraz w rękę losy olbrzymich przedsięwzięć politycznych i finansowych, nie od razu posiadała technikę wybijania dla siebie samych monety z własnego wpływu. Dziennikarze, przeważnie młodzi chłopcy (w gorączkowym tym zawodzie ludzie spalają się szybko), więcej dbali o wyzyskiwanie swej „wszechmocy” za kulisami bulwarowego teatryku niż za kulisami giełdy i wielkiego przemysłu; z czasem dopiero, w miarę jak posuwająca się demokratyzacja coraz większą rolę przyznawała tzw. opinii publicznej, i dziennikarstwo przeszło na właściwy sobie i szerszy teren działania.

Te wszystkie światy grawitujące około dziennika i potrzebujące go, te najrozmaitsze możliwe, wpływowe i wykwintne osobistości, ubiegające się o względy dziennikarzy i „nastrajające” ich za pomocą uczt i festynów, tworzą w połączeniu z cygańskim temperamentem wykołajeńców literatury ów tak mistrzowsko odmalowany obraz fantastycznego życia, w którym najohydniejsza nędza ociera się o przepychy rafinowanego zbytku. Dlatego też w tej powieści, nie opuszczając ściśle realnego gruntu, mógł Balzac przedstawić kilka miesięcy życia młodego Lucjana niby cudowną feerię, w której zaklęty

---

<sup>4</sup> *kondotier* – najemny żołnierz. [przypis edytorski]

pierścień lub jakaś lampa Aladyna otwiera mu na chwilę wrota paryskich sezamów. Równocześnie wydana po polsku powieść Balzaca pt. *Muza z zaścianka* stanowi jakby dopełnienie obrazu i ukazuje nam to życie w chwili, gdy go nie złoci już swymi promieniami błogosławiona beztroska młodości.

Balzac nie lubił i nie szanował prasy, i, nawzajem, nie cieszył się jej względami. W jednym ze swych wysoce romantycznych opowiadań pt. *Historia trzynastu* wymarzył pisarz związek trzynastu niepospolitych, a bezwzględnie sobie w razie potrzeby oddanych jednostek i rosi, jak olbrzymią potęgą byłaby taka asocjacja. Życie przekonało go rychło, że instytucja taka istnieje, tylko składa się nie z trzynastu wybitnych, ale z trzydziestu, trzystu czy trzech tysięcy **miernych** jednostek, które bez żadnych regulaminów i porozumień instynktownie a solidarnie współdziałają z sobą. Otóż do tej asocjacji Balzac nigdy nie umiał się nagiąć; za sztywny miał kark do takich kompromisów; przerywać się przez życie literackie Paryża sam, li<sup>5</sup> tylko siłą talentu i pracy. Nie iżby nie chciał iść po łatwiejszej drodze sukcesu; chciał zapewne, jak tego dowodzą różne, z dziecięcą naiwnością podejmowane próby, ale **nie mógł**: imperatyw talentu był zanadto kategoryczny. Cichy pracownik d'Artheza, przeciwstawiony zgrai szarlatanów, półtalentów i spekulantów literackich, oto człowiek, jakim Balzac rad przedstawia się własnym oczom. Tylko własnym zresztą, dla nas bowiem

---

<sup>5</sup> li – partykuła użyta tu w funkcji wzmacniającej wymowę zdania; znaczenie: tylko, wyłącznie. [przypis edytorski]

bujna, rabelaisowska indywidualność Balzaca bezwarunkowo nie mieści się w tym arcyszlachetnym **prymusie** literatury.

Sąd o ówczesnej prasie wypadł zapewne za czarno – sama postać Teofila Gautiera starczyłaby za odpowiedź bezwzględny oszczercom tego rzemiosła – ale tak w opisie uczt u Floryny i Koralii, jak w posiedzeniu redakcji małego dzienniczka rozsiane są rysy, które, w jednym zdaniu nieraz, genialnie streszczają istotę pewnego typu dziennikarstwa. Dzisiaj brukowe dzienniki paryskie, rozchodzące się w milionach egzemplarzy, posiadają agendy równające się co do rozmiarów i zakresu nieraz agendom jakiego ministerium i niewiele mają już wspólnego z tymi sympatycznie myszką trącącymi stosunkami, gdzie redaktor wpływowego pisma „przechwala się”, że ma dwa tysiące abonentów, i gdzie poważną rubrykę jego dochodów stanowi handel „egzemplarzami recenzyjnymi” książek i gratisowymi biletami do teatru. Dużo natomiast podobieństwa odnalazłoby się, z zachowaniem wszelkiej proporcji, między tym obrazem a naszymi stosunkami, jeżeli nie dzisiejszej (wydawcy naszych „Kurierków” z politowaniem patrzyliby dzisiaj na mikroskopijne dla nich operacje ówczesnych paryskich Finotów!), to wczorajszej doby. Nie wskazując nikogo palcem, znalazłbym w Polsce z łatwością model – i niejeden – dla takiego np. Stefana Lousteau, którego „wiek męski, wiek klęski” maluje nam *Muza z zaścianka*.

Cóż to za kapitalna żywa figura ów Stefan Lousteau!

Współczesna fama<sup>6</sup> wskazywała głośnego felietonistę Juliusza Janina<sup>7</sup> jako prototyp tej postaci; parę ustępów w korespondencji Balzaca każe raczej dopatrywać się pod nią Juliusza Sandeau, współnika doli George Sand<sup>8</sup>, czyli Aurory Dudevant, w czasie pierwszych jej lat paryskich. Ale przede wszystkim to jest typ: to dziennikarstwo ujęte ze swej niskiej, małej, niemoralnej strony, z zachowaniem całej gibkości i błyskotliwości intelektu, tak uwodzicielsko działających na młodego Lucjana.

Każda zresztą z figur tej galerii ma swoją bardzo odrębną fizjonomię<sup>9</sup>. Zapuszczając się głębiej w dzieło Balzaca, będzie miał czytelnik niejednokrotnie sposobność spotkać się z nimi i ściślej jeszcze wyodrębnić je od tła. Tak na przykład *Córka Ewy* będzie monografią duchową Natana, tego fałszywego wielkiego człowieka, którego tu widzimy w pierwszych blaskach zwodniczej sławy; tam też i gdzie indziej zresztą odnajdziemy jedną z najsympatyczniejszych figur literackiego świata, Blondeta, do którego Balzac, mimo jego sceptycznej bierności i nihilizmu duchowego, ma widoczną słabość i którego na wpół cygańską karierę wieńczy w końcu wspaniałomyślnie świetnym małżeństwem z hrabiną de Montcornet. W innej

---

<sup>6</sup> fama – pogłoska; rozgłos. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> Janin, Jules Gabriel (1804–1874) – francuski pisarz i krytyk literacki. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> George Sand – właśc. Aurore Dudevant (1804–1876), fr. pisarka epoki romantyzmu, autorka powieści feministycznych i społ.-obycz., przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> fizjonomia (daw.) – twarz. [przypis edytorski]

znowu powieści zapoznamy się bliżej z panną des Touches, wzorowaną w wielu rysach na postaci George Sand, oraz z Klaudiuszem Vignonem, nieskazitelnym kapłanem krytyki, do którego za model posłużył Gustaw Planche, ów nieszczęśliwie a wytrwale George Sand oddany wielbiciel.

Osobliwej zaprawy dodają obrazowi dziennikarskiego światka figury starych napoleończyków, zamieszane między tych nowoczesnych kondotierów idei. Paradny ten konkubinat cyganerii wojskowej, szukającej naturalnego schronienia wśród cyganerii literackiej, z którą wszystko ją dzieli oprócz skłonności do kieliszka, aktorek i łatwego życia, zaznaczony jest już mimochodem w *Kawalerskim gospodarstwie*; odnajdujemy też tutaj znajomą nam figurę kapitana Giroudeau, pogłębiając rysami wzdorliwego i filozoficznego poddania się duchowi epoki, dającej w rękę fantastyczną potęgę tym „kramikom myśli”, dla których rozpędzenia „wystarczyłoby cesarzowi kaprała na czele kilku ludzi”. A komizmowi tej symbiozy nie ustępuje z pewnością ta, którą powaby kulis stwarzają pomiędzy lekkomyślnymi żonglerami paradoksu a co najgęstsza śmietana osiadłego paryskiego mieszczaństwa.

Wśród utworów Balzaca powieść ta należy do najcelniejszych. Mistrzowska analiza psychologiczna reakcji, jaką w parze prowincjonalnych kochanków powoduje przeniesienie na teatr Paryża; iskrząca werwa w przedstawieniu krótkiej wędrówki Lucjana przez świat dziennikarski, rozsypane rysy gryzącej a trafnej satyry, wreszcie tragiczny patos zakończenia tworzą z

powieści tej dzieło przelewające się od bogactwa treści. Faktura powieści Balzaca przedstawia zazwyczaj proces powolnego rozpalania się pod kotłem olbrzymiej maszyny; tutaj – co rzadko się u niego zdarza – wchodzimy *in medias res*<sup>10</sup> dzięki temu, iż powieść ta posiada ścisły związek z opowiadaniem pt. *Dwaj poeci*. Trzecia część, *Cierpienia wynalazcy*, zamyka tę trylogię<sup>11</sup>, objętą w wielu wydaniach Balzaca wspólnym tytułem *Stracone złudzenia*, przy czym niniejsza część posiada podtytuł: *Wielki człowiek z prowincji w Paryżu*. Dla zorientowania się w całości *Komedii ludzkiej* powieść ta jest bardzo pomocna; cały ów światek, który tutaj naznacza sobie schadzki, kręcąc się bliżej lub dalej około dziennika lub teatru, to uprzywilejowane typy Balzaca, które niemal wszystkie zjawiają się i w innych jego powieściach. Każdy z nich powtarzać się będzie w różnych epokach życia, różnych planach i przekrojach, wciąż pogłębiając uczucie zdumienia nad tą jedyną w swoim rodzaju nowoczesną epopeją.

*Boy*

*Kraków, w marcu 1919*

---

<sup>10</sup> *in medias res* (łac.) – w środek rzeczy (zwykle określenie sposobu opowiadania historii, w którym rezygnuje się z długiego przedstawiania wydarzeń poprzedzających akcję). [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *zamyka tę trylogię* – niezupełnie, gdyż dalsze losy bohatera opisuje powieść *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

# Stracone złudzenia

Ani Lucjan, ani pani de Bargeton, ani Gentil, ani pokojowa Albertyna nie wspominali nigdy o wydarzeniach tej podróży; ale można mniemać, iż ustawiczna obecność służby zepsuła ją kochankowi, który spodziewał się pełnych rozkoszy wykradzenia. Lucjan, który podróżował pocztą pierwszy raz, zdumiewał się, widząc, że droga z Angoulême do Paryża pochłonęła niemal tyle, ile on przeznaczal na życie przez cały rok. Jak ludzie, którzy łączą wdzięk dzieciństwa z siłą talentu, popełniał ten błąd, iż na widok rzeczy tak dla siebie nowych wyrażał naiwne zdziwienie. Mężczyzna powinien dobrze poznać kobietę, nim odsłoni przed nią z całą prostotą swoje wzruszenia i myśli. Tkliwa i szlachetna kochanka uśmiecha się z tych dzieciństw<sup>12</sup> i rozumie je; ale jeśli jest istotą bodaj trochę ambitną, nie przebaczy kochankowi, iż okazał się dziecinny, próżny i mały. Często kobiety wkładają w swój kult tyle przesady, iż chcą wciąż znajdować bóstwo w swoim fetyszu; tylko te, które kochają mężczyznę dla niego bardziej jeszcze niż dla siebie, ubóstwiają jego małość na równi z jego wielkością. Lucjan nie wiedział jeszcze, że u pani de Bargeton miłość narodziła się z dumy. Popełnił tę omyłkę, że nie umiał zrozumieć pewnych uśmieszków Luizy w ciągu tej podróży, kiedy, zamiast

---

<sup>12</sup> *dzieciństwo* (daw.) – dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

panować nad sobą, dawał folgę pustotom młodego szczura, który wydobył się z jamy.

Podróżni stanęli o świcie w hotelu Gaillard-Bois przy ulicy de l'Echelle. Oboje byli tak zmęczeni, że Luiza przede wszystkim chciała się położyć, poleciwszy Lucjanowi wziąć pokój o piętro wyżej. Lucjan spał do czwartej po południu. Pani de Bargeton kazała go obudzić na obiad. Dowiedziawszy się, która godzina, ubrał się spiesznie i zastał Luizę w jednym z owych ohydnych pokoiów stanowiących hańbę Paryża, gdzie mimo tylu uroszczeń elegancji nie ma jeszcze ani jednego hotelu, w którym majętny podróżny mógłby odnaleźć dom. Lucjan, mimo iż jeszcze niezupełnie rozbudzony, nie poznał swej Luizy w tym pokoju zimnym, bez słońca, o spłowiałyach firankach, gdzie licho zaciągnięta posadzka świeciła ubóstwem, gdzie meble były wytarte, w złym smaku, stare lub przygodnie kupione. Rzeczywiście istnieją osoby, które zmieniają swój wygląd i swoją wartość, skoro je oddzielić od ludzi, rzeczy, miejsca, które im służyły za ramę. Fizjonomie<sup>13</sup> posiadają właściwą sobie atmosferę, tak jak światłocien flamandzkich obrazów potrzebny jest do życia tworom geniusza malarza. Mieszkańcy prowincji należą prawie wszyscy do tego typu. Przy tym pani de Bargeton zdawała mu się sztywniejsza, bardziej zadumana, niżby wypadało w chwili, gdy zaczynało się szczęście bez przeszkód. Lucjan nie mógł wynurzyć swoich żalów: Gentil i Albertyna kręcili się po pokoju. Obiad nie miał już owego charakteru

---

<sup>13</sup> *fizjonomia* (daw.) – twarz. [przypis edytorski]

obfitości i przedniej dobroci, jakie cechują prowincję. Ściśle odmierzone dania pochodziły z sąsiedniej restauracji: chudo przybrane, trąciły skąpo obliczoną porcyjką. Paryż nie jest ładny w tych małościach, na które skazuje ludzi o miernych środkach. Lucjan czekał końca obiadu, aby pomówić swobodniej z Luizą, której odmiany nie umiał sobie wytłumaczyć. Nie mylił się. Ważne wydarzenie – refleksje bowiem są wydarzeniami życia duchowego – zaszło, gdy on spał.

Około drugiej po południu Sykstus du Châtelet zjawił się w hotelu, kazał obudzić Albertynę, oświadczył, iż pragnie mówić z panią, i wrócił, zostawiwszy pani de Bargeton czas do ogarnięcia się trochę. Anais, której ciekawość podrażniła ta osobliwa wizyta pana du Châtelet (wierzyła w swoje najściślejsze incognito), przyjęła barona około trzeciej.

– Pędziłem za panią, narażając się na nosa od moich władz – rzekł, składając ukłon – przewidywałem bowiem to, co się stało. Ale choćbym ja miał stracić miejsce, przynajmniej pani nie będzie stracona.

– Co pan ma na myśli? – wykrzyknęła pani de Bargeton.

– Widzę, że pani kocha Lucjana – ciągnął z tkliwą rezygnacją – bo trzeba kochać, aby się nie zastanawiać nad niczym, aby zapomnieć o wszystkich konwenansach: i to pani, która znasz je tak dobrze! Czy myślisz, droga, ubóstwiana Nais, że przyjmą cię u pani d'Espard albo w jakimkolwiek salonie w Paryżu, z chwilą gdy będzie wiadomo, że po prostu uciekaś z Angoulême z młodym chłopcem, zwłaszcza po pojedynku

pana de Bargeton z panem de Chandour? Pobyt męża pani w Escarbas trąci separacją! W podobnych okolicznościach ludzie honoru najpierw biją się za swą żonę, a potem zwracają jej wolność. Kochaj pana de Rubempré, opiekuj się nim, rób, co ci się podoba, ale nie mieszkaście razem! Gdyby kto wiedział, że odbyliście podróż w jednym powozie, byłabyś wyklęta w tym świecie, w którym chcesz szukać oparcia. Zresztą, Nais, nie rób takich ofiar dla młodego chłopca, którego jeszcze nie porównałaś z nikim, którego nie poddałaś żadnej próbie i który może tu zapomnieć o tobie dla pierwszej paryżanki, skoro mu się wyda lepszą dźwignią dla jego ambicji. Nie chcę szkodzić człowiekowi, którego pani kocha, ale pozwolisz mi, abym wyżej stawiał twoje dobro. Powiem ci tedy<sup>14</sup>: „Przyjrzyj mu się! Poznaj wprzód całą doniosłość swego kroku”. Jeśli znajdziesz wszystkie drzwi zamknięte, jeśli żadna kobieta nie zechce cię przyjąć, nie czuj przynajmniej żalu za tyle ofiar, przekonana, że ten, dla którego je uczyniłaś, będzie ich zawsze godny i zrozumie je. Pani d'Espard jest tym surowsza i tym bardziej uważająca, ile że sama żyje w separacji z mężem, mimo iż świat nie zdołał przeniknąć przyczyn ich niezgody; ale rodziny Navarreins, Blamont-Chauvry, Lenoncourt, wszyscy jej krewni opowiedzieli się za nią, kobiety najdrażliwsze na punkcie cnoty bywają u niej i przyjmują ją, tak iż margrabia d'Espard ponosi w oczach świata całą winę. Od pierwszej wizyty u niej uznasz słuszność moich ostrzeżeń. Mogę to pani przepowiedzieć, ja, który znam Paryż:

---

<sup>14</sup> tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

przestąpiwszy próg margrabiny, będzie pani w rozpaczy na myśl, iż mogłaby się dowiedzieć, że mieszkasz w hotelu Gaillard-Bois z synem aptekarza, mimo iż przemianowanym na pana de Rubempré. Znajdziesz tu rywalki trochę chytrzejsze i bardziej podstępne niż Amelia: postarają się skwapliwie o wiadomości, kto pani jesteś, gdzie jesteś, skąd przybywasz i co robisz. Liczyła pani, jak widzę, na incognito; ale należysz do osób, dla których incognito nie istnieje. Czy nie spotkasz tu Angoulême na każdym kroku? To posłowie z departamentu Charenty, którzy przybywają na otwarcie Izby; to generał, który spędza urlop w Paryżu. Wystarczy jednego mieszkańca Angoulême, który cię tu zobaczy, aby twoje życie określiło się w szczególny sposób: staniesz się już tylko kochanką Lucjana. Jeśli mnie pani będzie potrzebowała w jakiej bądź sprawie, mieszkam u generalnego poborcy, ulica du Faubourg-Saint-Honoré, dwa kroki od pani d'Espard. Znam na tyle marszałkową de Carigliano, panią de Sérisy i prezydenta ministrów, aby panią przedstawić w tych domach; ale spotka pani tyle osób u pani d'Espard, że nie będziesz mnie potrzebowała. Zamiast by pani miała pragnąć wstępu do tego lub owego salonu, sama będziesz upragniona we wszystkich.

Châtelet mógł mówić bez obawy, aby pani de Bargeton mu przerwała: trafność jego obserwacji oszołomiła ją. Królowa Angoulême liczyła w istocie na incognito.

– Masz słuszość, drogi przyjacielu – rzekła – ale jak to zrobić?

– Pozwól mi pani – rzekł Châtelet – wyszukać sobie umeblowany, przyzwoity apartamencik; w ten sposób życie będzie cię kosztowało taniej niż w hotelu, a będziesz u siebie. Jeżeli mnie pani zechce posłuchać, przeniesiesz się jeszcze dziś.

– Ale jak się pan dowiedział o moim adresie? – rzekła.

– Nietrudno było poznać powóz; zresztą, jechałem w pani ślady. W Sèvres pocztylion, który panią odwiózł, powiedział mojemu adres. Czy pozwoli mi pani być jej kwatermistrzem? Prześlę niebawem wiadomość, gdzie panią ulokowałem.

– Dobrze więc, proszę – rzekła.

To słówko zdawało się niczym, a było wszystkim. Baron du Châtelet odezwał się językiem świata do światowej kobiety. Ukazał się w całej elegancji paryskiego wykwintu; ładny kabriolecik<sup>15</sup> zaprzężony w zgrabnego konika czekał nań pod bramą. Przypadkowo pani de Bargeton zbliżyła się do okna, aby się zastanowić nad położeniem, i spostrzegła podstarzałego dandysa<sup>16</sup> w chwili, gdy odjeżdżał. W chwilę potem Lucjan, spiesznie zbudzony, spiesznie ubrany, ukazał się jej w zeszlórocznych nankinowych<sup>17</sup> pantalonach<sup>18</sup>, w lichej

---

<sup>15</sup> *kabriolet* (daw.) – lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *dandys* – mężczyzna przesadnie zwracający uwagę na strój i formy towarzyskie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *nankinowy* – wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowożółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *pantalony* (z fr., daw.) – dziś: spodnie. [przypis edytorski]

surducinie. Był piękny, ale śmiesznie ubrany. Ubierzcie Apollina Belwederskiego<sup>19</sup> albo Antinousa<sup>20</sup> za nosiwodę, czy poznacie wówczas boski twór greckiego lub rzymskiego dłuta? Oczy porównują, nim serce zdoła sprostować ten błyskawiczny machinalny wyrok. Kontrast między Lucjanem a Sykstusem był zbyt gwałtowny, aby uszedł oczu Luizy. Kiedy koło szóstej skończyli obiad, pani de Bargeton dała znak Lucjanowi, aby siadł przy niej na mizernej kanapie – czerwony perkal w żółte kwiaty – gdzie sama też usiadła.

– Mój Lucjanie – rzekła – czy nie jesteś zdania, iż jeśli popełniliśmy szaleństwo jednakowo zabójcze dla obojga, trzeba myśleć nad tym, aby je naprawić? Nie możemy, drogie dziecko, ani mieszkać wspólnie w Paryżu, ani też pozwolić się domyślać, iż przybyliśmy tu razem. Twój los wiele zależy od mojej pozycji, nie powinnam jej narażać w żadnym sposobie. Tak więc jeszcze dziś wieczór znajdę mieszkanie o parę kroków stąd; ty zostaniesz w hotelu; wówczas będziemy się mogli widywać co dzień i nikt nie znajdzie nic do zarzucenia.

Luiza wyłożyła kodeks świata Lucjanowi, który szeroko otwierał oczy. Nie wiedział jeszcze, iż kobieta, która trzeźwieje z szaleństwa, trzeźwieje tym samym z miłości, ale zrozumiał, że

---

<sup>19</sup> *Apollo Belwederski* – marmurowy posąg Apolla, boga słońca i światła, klasycznego ideału męskiego piękna, będący rzymską kopią greckiego oryginału wykonanego w IV w. p.n.e., odnaleziony w 1489, obecnie w Muzeach Watykańskich. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Antinous* (111–130) – grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadriana; kiedy utonął w Nilu, na rozkaz Hadriana powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinousa jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

nie jest już dawnym Lucjanem z Angoulême. Luiza mówiła mu tylko o sobie, o swoich interesach, o swojej reputacji, o świecie; aby usprawiedliwić swój egoizm, próbowała wytłumaczyć mu, że chodzi o niego. Nie miał żadnych praw wobec Luizy, która tak szybko przedzierzgnęła się w panią de Bargeton, i – rzecz o wiele ważniejsza! – nie miał nad nią żadnej mocy. Nie mógł też powstrzymać wielkich łez, które zakręciły mu się w oczach.

– Jeżeli ja jestem twoją chlubą, ty jesteś dla mnie czymś więcej jeszcze, jesteś mą jedyną nadzieją i przyszłością. Sądziłem, iż jeżeli masz dzielić moje triumfy, winnaś dzielić i moje niedole; i oto już się rozłączamy.

– Sądziś moje postępowanie – rzekła – nie kochasz mnie więc.

Lucjan spojrział na nią tak boleśnie, iż dodała:

– Drogie dziecko, zostanę, jeśli chcesz, ale zgubimy się oboje i zostaniemy bez oparcia. Ale kiedy będziemy oboje jednako nędzni i samotni, kiedy niepowodzenie (trzeba wszystko brać w rachubę) wygna nas do Escarbas, pamiętaj, kochanie, że przewidywałam ten koniec i że radziłam iść do celu wedle praw świata, okazując się im posłusznym.

– Luizo – odparł, obejmując ją – przeraża mnie twój rozsądek. Pomyśl, że jestem dzieckiem, że zawierzyłem się ze wszystkim twojej dobrej woli. Co do mnie, chciałbym ujarzmić świat i ludzi siłą; ale jeśli mogę szybciej dojść z twoją pomocą, szczęśliwy będę, zawdzięczając tobie całą mą dolę. Przebacz! Za wiele nadziei położyłem w tobie, abym się mógł nie lękać... Dla mnie

rozłąka jest zwiastunem opuszczenia, a opuszczenie to śmierć.

– Ależ, drogie dziecko, świat żąda od ciebie bardzo niewiele – rzekła. – Chodzi tylko o to, abyś sypiał tutaj, a zresztą<sup>21</sup> możesz przebywać cały dzień u mnie, bez zarzutu z czyjejkolwiek strony.

Trochę pieśzcot uspokoiło Lucjana. W godzinę potem Gentil przyniósł bilecik, w którym Châtelet donosił, iż znalazł mieszkanie na ulicy Neuve-de-Luxembourg. Pani de Bargeton kazała sobie objaśnić położenie tej ulicy, niezbyt oddalonej od hotelu, i rzekła do Lucjana:

– Jesteśmy sąsiadami.

W dwie godziny później Luiza wsiadła do powozu, który jej przysłał Châtelet, aby się udać do siebie. Apartament, jeden z tych, które tapicerzy meblują i wynajmują zamożnym posłom lub innym znacznym osobom przybyłym na krótko do Paryża, był bogaty, ale niewygodny. Lucjan wrócił o jedenastej do swego hotelu, ujrzawszy z Paryża jedynie kawałek ulicy św. Honoriusza, łączący owe dwie ulice. Ułożył się do snu w nędznym pokoiku, który mimo woli porównał w myśli ze wspaniałym apartamentem Luizy. W chwili gdy wychodził od pani de Bargeton, zjawił się baron du Châtelet, prosto z wieczoru u ministra spraw zagranicznych, w całym blasku balowej toalety. Przybył zdać sprawę z zamówień, jakie poczynił w imieniu pani de Bargeton. Luiza była zaniepokojona, przerażała ją ten zbytek. Prowincja wycisnęła na niej swoje piętno; stała się drobiazgową w wydatkach; była tak gospodarna, że w

---

<sup>21</sup> zresztą (daw.) – co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

Paryżu musiałyby uchodzić za skąpą. Wzięła z sobą przekazy bankowe blisko na dwadzieścia tysięcy, przeznaczając tę sumę na nadwyżkę wydatków na przeciąg czterech lat; obawiała się już, że jej to nie wystarczy i że wejdzie w długi. Châtelet objaśnił ją, że mieszkanie będzie kosztowało tylko sześćset franków miesięcznie.

– Nędza, drobiazg – dodał, widząc zachnięcie się Nais. – Ma pani na rozkazy powóz za pięćset franków na miesiąc: razem pięćdziesiąt ludwików<sup>22</sup>. Pozostają jedynie toalety. Kobieta, która bywa w świecie, nie może urządzić się inaczej. Jeżeli chce pani wykroić z pana de Bargeton generalnego poborcę lub uzyskać dlań posadę na dworze, nie powinnaś wyglądać na osobę potrzebującą. Tutaj dają tylko bogatym. Bardzo szczęśliwie – dodał – że ma pani Gentila i Albertynę, służba w Paryżu to istna ruina. Jadać u siebie będzie pani rzadko, skoro raz wpłyniesz na szerokie wody.

Zaczęli rozmawiać o Paryżu. Châtelet opowiedział nowinki, tysiąc drobnostek, które trzeba znać, jeśli się chce być paryżaninem. Udzielił rad co do magazynów, wskazał adres krawcowej i modniarki, słowem, dał Luizie odczuć potrzebę „odangulemizowania się”. Następnie światowiec pożegnał ją ze swobodnym żarciem na ustach.

– Jutro – rzekł od niechcienia – będę miał zapewne lożę do

---

<sup>22</sup> *ludwik a. luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) – złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

jakiegoś teatru; wstąpię, aby zabrać panią i pana de Rubempré. Pozwoli pani, że będę wam robił honory Paryża.

„To szlachetniejszy charakter, niż mniemałam” – rzekła w duchu pani de Bargeton, gdy usłyszała zaproszenie dla Lucjana.

W czerwcu ministrowie nie wiedzą, co począć ze swymi łóżami: posłowie prawicy i ich mandanci<sup>23</sup> pilnują żniw lub winobrania, znajomi siedzą na wsi lub podróżują: toteż w tym okresie w najświetniejszych łóżach widzi się typy dziwnego nabożeństwa, nieznane bywalcom teatrów i dające publiczności wygląd spłowiatego obicia. Châtelet pomyślał, iż dzięki tej okoliczności będzie mógł bez wielkich wydatków dostarczyć Nais uciech najłakomszych mieszkańcom prowincji. Nazajutrz, zjawiwszy się pierwszy raz, Lucjan nie zastał Luizy. Pani de Bargeton wyszła dla paru niezbędnych sprawunków. Udała się, wedle wskazówek barona, na naradę z poważnymi i dostojnymi autorytetami w sprawach damskiej toalety, napisała już bowiem o swym przyjeździe do margrabiny d'Espard. Mimo iż pani de Bargeton posiadała to zaufanie w siebie, jakie daje długie panowanie, drżała, iż wyda się parafianką<sup>24</sup>. Miała dość taktu, aby rozumieć, jak bardzo stosunki między kobietami zależą od pierwszego wrażenia. Mimo że czuła się na siłach, aby zrównać się szybko z poziomem kobiet tak znakomitych jak pani d'Espard, zgadywała, iż w początkach trzeba jej będzie życzliwości; nie chciała zwłaszcza pominąć żadnej z szans

---

<sup>23</sup> *mandant* – tu: mandatariusz, pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *parafianka* – tu: kobieta z prowincji. [przypis edytorski]

powodzenia. Dlatego była niezmiernie wdzięczna baronowi, że jej wskazał środki dostrojenia się do paryskiego świata. Szczególnym zbiegiem okoliczności margrabinie było w danej sytuacji niezmiernie na rękę, że mogła oddać przysługę komuś z rodziny męża. Bez wyraźnej przyczyny margrabia d'Espard usunął się: nie zajmował się ani interesami, ani sprawami publicznymi, ani rodziną, ani żoną. Stawszy się w ten sposób panią swojej woli, margrabina czuła potrzebę aprobaty świata, była więc rada, iż może w tej okoliczności zastąpić margrabiego, występując jako protektorka jego krewnych. Pragnęła nawet dać temu patronatowi pewną ostentację, aby tym więcej podkreślić winę męża. Tegoż samego dnia napisała do **pani de Bargeton z domu Négrepelisse** jeden z owych bilecików, w których forma jest tak ładna, iż trzeba wiele czasu, nim się dojrzy pod nią brak treści: czuje się szczęśliwa z okoliczności, zbliżających ją do osoby, o której słyszała i którą z dawna życzyła sobie poznać, przyjaźń bowiem w Paryżu nie jest czymś tak trwałym, aby mogła nie pragnąć posiadania jeszcze kogoś bliskiego sercu; gdyby się to nie miało ziścić, będzie to jedno złudzenie więcej, jakie pogrzebie wraz z innymi. Oddaje się cała do rozporządzenia kochanej kuzynki, którą byłaby pośpieszyła<sup>25</sup> odwiedzić, gdyby niedyspozycja nie zatrzymała jej w domu; ale uważa się już za zobowiązaną pani de Bargeton za to, że

---

<sup>25</sup> *byłaby pośpieszyła* – przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: pospieszyłaby. [przypis edytorski]

pomyślała o niej.

W czasie pierwszej swej włóczęgi przez bulwary i ulicę de la Paix Lucjan, jak wszyscy nowo przybyli, zajmował się o wiele więcej rzeczami niż ludźmi. W Paryżu zrazu pochłaniają uwagę masy: bogactwo sklepów, wysokość domów, natłok pojazdów, sprzeczności, jakie nastęrcza krańcowy zbytek z krańcową nędzą, uderzają przede wszystkim. Zdumiony tym tłumem, któremu był zupełnie obcy, Lucjan, obdarzony żywą wyobraźnią, uczuł jak gdyby straszliwe pomniejszenie samego siebie. Osoby, które cieszą się na prowincji jakimś mirem i które spotykają tam na każdym kroku dowód swej ceny, nie mogą się oswoić z tą zupełną i nagłą zniżką. Być czymś w swoim miasteczku, a nie być niczym w Paryżu, to dwa stany, które wymagają przejścia; ci, którzy przechodzą z jednego do drugiego zbyt gwałtownie, popadają w rodzaj unicestwienia. Młodemu poecie, nawykłemu znajdować echo dla wszystkich uczuć, powiernika dla wszystkich myśli, duszę dzielącą najmniejsze wrażenia, Paryż musiał się zdać straszliwą pustynią. Nie pomyślał o tym, aby się przebrać w odświętny niebieski fraczek, tak iż udając się o umówionej godzinie do pani de Bargeton, uczuł się zawstydzony ubóstwem, żeby nie powiedzieć: nędzą swego stroju. Zastał barona, który zabrał oboje na obiad do Rocher de Cancale<sup>26</sup>. Lucjan, oszołomiony paryskim wirem, nie mógł nic szepnąć Luizie, byli bowiem w powozie we troje; ścisnął

---

<sup>26</sup> *Rocher de Cancale* – elegancka restauracja paryska, przy ul. Montorgueil, ciesząca się wielkim powodzeniem w XIX w. [przypis edytorski]

ją za rękę, ona zaś odpowiedziała przyjaźnie myślom, które wyrażał w ten sposób. Po obiedzie Châtelet zaprowadził swoich gości do teatru Vaudeville<sup>27</sup>. Lucjana drażnił potajemnie widok Châteleta, przeklinał los, który go zawiódł do Paryża. Dyrektor podatków złożył cel podróży na swoje ambicje: ma nadzieję (mówił), że otrzyma stanowisko generalnego sekretarza i wejdzie jako referendarz<sup>28</sup> do Rady Stanu<sup>29</sup>; przybył upomnieć się o dotrzymanie obietnic, jakie mu poczyniono. Człowiek taki jak on nie może być wiecznie dyrektorem podatków; woli raczej niczym nie być, zostać posłem, wrócić do dyplomacji. Starał się urósć w oczach pani de Bargeton; Lucjan odczuwał niejasno w starym fircyku wyższość światowca zaprawionego w życiu paryskim; wstyd mu było zwłaszcza, iż z jego łaski kosztuje wielkomięjskich przyjemności. Tam, gdzie poeta był nieswój i zakłopotany, dawny sekretarz do szczególnych poruczeń czuł się jak ryba w wodzie. Châtelet uśmiechał się z wahań, zdumień, zapytań, drobnych niezręczności, w które brak obycia wtrącał jego rywala, jak stare wilki morskie dworują sobie z fryców<sup>30</sup>, którzy nie przebyli jeszcze równika.

---

<sup>27</sup> teatr *Vaudeville* – dawny paryski teatr, otwarty w 1792 przy ul. Chartres, po pożarze w 1838 tymczasowo przeniesiony na bulwar Bonne-Nouvelle, od 1841 do 1869 przy Place de la Bourse. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> referendarz – urzędnik administracji państwowej. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Rada Stanu* – jeden z organów ustanowionych przez konstytucję Bonapartego: opiniuje projekty ustaw i rozporządzeń oraz sprawuje funkcję najwyższego sądu administracyjnego. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> fryc (daw.) – nowicjusz. [przypis edytorski]

Przyjemność znalezienia się pierwszy raz w teatrze paryskim wynagradzała Lucjanowi przykrość, jaką sprawiły mu drobne konfuzje<sup>31</sup>. Wieczór ten był dlań znamienny przez tajemne zaparcie się wielu pojęć zrodzonych na prowincji. Krąg rozszerzał się, społeczeństwo nabierało innych proporcji. Sąsiedztwo ładnych paryżanek, ubranych tak świeżo, tak wykwintnie, zwróciło jego uwagę na starzyzną toalety pani de Bargeton, mimo iż dość wyszukanej: materia, fason, kolory, wszystko było niemodne. Uczesanie, które go tak zachwycało w Angoulême, wydało mu się straszliwie niegustowne w porównaniu do wytwornych pomysłów zdobiących tu główkę każdej kobiety.

„Czy to tak zostanie?” – myślał, nie wiedząc, iż Luiza obróciła ten dzień na przygotowanie transformacji.

Na prowincji nie ma wyboru ani porównania; nawyk oglądania tych samych twarzy sprawia, iż piękność opiera się na konwencji. Kobieta, która uchodzi na prowincji za ładną, w Paryżu nie zwraca najmniejszej uwagi, jest bowiem ładna tylko na zasadzie przysłowia: „W królestwie ślepych jednooki królem”. Oczy Lucjana czyniły to samo porównanie, jakie pani de Bargeton uczyniła między nim a Châteletem. Ze swej strony pani de Bargeton pozwalała sobie na osobliwe spostrzeżenia nad swym ulubieńcem. Mimo wybitnej urody biedny poeta nie przedstawiał się korzystnie. Surducina o przykrótkich rękawach, tanie prowincjonalne rękawiczki, kusa

---

<sup>31</sup> *konfuzja* – zmieszanie, zakłopotanie. [przypis edytorski]

kamizelka czyniły go nader śmiesznym w porównaniu z młodymi ludźmi kręcącymi się po balkonie; w tym sąsiedztwie wydał się pani de Bargeton bardzo niepokąźny. Châtelet, nadskakujący bez pretensji, czuwający nad nią z bacnością, która zdradzała głębokie uczucie, Châtelet wytworny i swobodny jak aktor, który znów się znajdzie na deskach teatru, odzyskał w dwóch dniach cały teren, jaki postradał od pół roku. Mimo iż przeciętny sąd nie uznaje, aby uczucia mogły się zmieniać nagle, to pewne, iż para kochanków rozchodzi się często szybciej, niż się skojarzyła.

W pani de Bargeton i Lucjanie gotowało się wzajemne rozczarowanie, którego przyczyną był Paryż. Życie rozszerzało się w oczach Lucjana, gdy społeczeństwo przybierało nową fizjonomię w oczach Luizy. Trzeba było u obojga jedynie przypadku, aby przeciąć więzy, jakie ich łączyły. Ten cios siekiery, straszny dla Lucjana, niedługo dał na siebie czekać. Pani de Bargeton wysadziła poetę pod hotelem i wróciła do siebie w towarzystwie du Châteleta, co straszliwie zabolowało biednego kochanka.

„Co oni będą o mnie mówili?” – myślał, idąc do swego smutnego pokoiku.

– Ten chłopczyzna jest piekielnie nudny – rzekł Châtelet z uśmiechem, skoro drzwiczki się zawarły.

– Jak wszyscy, którzy noszą świat myśli w sercu i w mózgu. Ludzie mający tyle rzeczy do wyrażenia w pięknych i długo marzonych dziełach gardzą zazwyczaj rozmową, tym targiem, w którym duch kurczy się, rozmieniając swe skarby na drobną

monetę – rzekła dumna Nègrepelisse, która miała jeszcze odwagę bronić Lucjana, mniej dla Lucjana niż dla samej siebie.

– Godzę się z panią chętnie – odparł baron – ale cóż! Żyjemy z ludźmi, a nie z książkami. Posłuchaj, droga Nais, widzę, że jeszcze nie zaszło nic między panią a nim, to szczęście. Jeżeli pani zdecyduje się wprowadzić w życie swoje czynniki, którego zbywało ci dotąd, błagam, niechaj nim nie będzie osoba tego mniemanego geniusza. Gdybyś się miała mylić! Gdybyś za kilka dni, porównując go z prawdziwymi talentami, z naprawdę wybitnymi ludźmi, jakich tu zobaczysz, uznała, droga piękna syreno, iż wzięłaś na swój olśniewający grzbiet i zaniostaś do portu, miast<sup>32</sup> człowieka zbrojnego lirą, małpkę bez wychowania, bez znaczenia, głupią i próżną, która może mieć dość talentu na Houmeau, ale która w Paryżu staje się czymś nader pospolitym! Ostatecznie, drukują tu co tydzień tomy wierszy, z których najlichszy wart jest więcej niż cała poezja pana Chardona. Przez litość, czekaj, pani, i porównuj! Jutro piątek, dzień opery – rzekł, widząc, iż dojeżdżają – pani d'Espard ma do dyspozycji łożę dworską, zaprosi panią z pewnością. Aby panią oglądać w całej chwale, pójdę do łoży pani de Sérisy. Grają *Danaidy*<sup>33</sup>.

– Do widzenia – rzekła.

Nazajutrz pani de Bargeton postarała się skombinować przyzwoity strój, aby odwiedzić przed południem swą kuzynkę.

---

<sup>32</sup> *miast* (daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *Danaidy* – opera Antonio Salieriego z roku 1784, na podstawie greckiego mitu o córkach króla Argos, Danaosa. [przypis edytorski]

Było trochę chłodno, nie znalazła w angulemskich rupiecicach nic lepszego nad jakąś zieloną aksamitną suknię, przybraną dość krzykliwie. Ze swej strony Lucjan podjął wyprawę po sławny niebieski fraczek, nie mógł już patrzeć na swą surducinę. Postanowił stale być dobrze ubrany, w tej myśli, iż może spotkać margrabinę d'Espard lub otrzymać od niej niespodziane zaproszenie. Wsiadł do dorożki, aby natychmiast przywieźć pakiet. W ciągu dwóch godzin wydał trzy czy cztery franki, co mu dało wiele do myślenia o finansowych proporcjach życia w Paryżu. Dotarłszy do szczytu swoich toaletowych możliwości, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie w bramie spotkał Gentila w towarzystwie wspaniale wystrojonego strzelca<sup>34</sup>.

– Miałem właśnie iść do pana; pani dała mi ten bilecik dla niego – rzekł Gentil, który, przywykły do prowincjonalnej dobroduszości, nie znał formułek paryskiego uszanowania.

Strzelec wziął poetę za służącego. Lucjan otworzył bilecik, z którego dowiedział się, że pani de Bargeton spędzi dzień u pani d'Espard, a wieczór idzie do Opery, ale poleca Lucjanowi, aby się tam zjawił; kuzynka pozwala jej użyczyć miejsca w łoży młodemu poecie. Margrabina – dodawała pani de Bargeton – zachwycona jest, iż może mu sprawić tę przyjemność.

„Kocha mnie zatem! Obawy moje były szalone – rzekł do siebie Lucjan – przedstawi mnie dziś wieczór kuzynce”.

Podsłoczył z radości i chciał wesoło spędzić czas, jaki

---

<sup>34</sup> *strzelec* (daw.) – w dawnych dworach: służący do różnych posług, m.in. towarzyszący karecie podczas podróży. [przypis edytorski]

go dzielił od szczęśliwego wieczoru. Pomknął ku Tuileriom<sup>35</sup>, mając zamiar przechadzać się tam do chwili, w której pójdzie zjeść obiad u Véry'ego<sup>36</sup>. I oto Lucjan, rozbawiony, skoczny, lekki szczęściem, wstępuje na terasę Feuillants i przebiega ją, przyglądając się przechodniom, śledząc ładne kobiety w towarzystwie wielbicieli, elegantów przechadzających się parami pod rękę i pozdrawiających się wzajem spojrzeniem i skinieniem dłoni. Cóż za różnica między tą terasą a Beaulieu! Ptaki tej wspaniałej grzędy inny miały blask niż angulemskie kwoczki! Był to cały przepych kolorów, błyszczący w ornitologicznych rodzinach Indii lub Ameryki, w porównaniu z szarymi barwami ptaków Europy. Lucjan spędził w Tuileriach dwie okrutne godziny: poddał się sam straszemu egzaminowi i wydał wyrok. Przede wszystkim nie zobaczył wśród elegantów ani jednego fraka. Jeżeli zdarzył się ktoś we fraku, to chyba jakiś staruszek bez pretensji, biedaczyna, drobny rentier<sup>37</sup> z Dzielnicy Marais<sup>38</sup>, woźny... Zorientowawszy się, że istnieje osobny strój ranny i wieczorowy, poeta, obdarzony wrażliwością i przenikliwym spojrzeniem, ocenił szpetotę swoich sukien:

---

<sup>35</sup> *Tuileries* – paryskie ogrody i istniejący do 1871 pałac, położone między Luwrem a Sekwaną. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *Véry* – jedna z najlepszych restauracji paryskich. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *rentier* – osoba utrzymująca się z dochodów z kapitału ulokowanego w banku lub na giełdzie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *Marais* (fr.: bagna) – część Paryża na północnym brzegu Sekwany, w XIX w. zamieszkiwana przez drobnych kupców, rzemieślników i biedotę miejską. [przypis edytorski]

rażące śmiesznością niedostatki swego ubrania o niemodnym kroju, niegustownej niebieskiej barwie, szkaradnym rysunku kołnierza, którego znoszone klapy zwieszały się smutnie; guziki były zrudziałe, szwy rysowały się szpetnymi białymi liniami. Dalej, kamizelka była zbyt krótka i miała w sobie coś tak pocieszenie prowincjonalnego, że aby ją ukryć, Lucjan zapiął się mimo woli na wszystkie guziki. Wreszcie spostrzegł, iż nankinowe pantalony nosi jedynie pospólstwo; ludzie wykwintni noszą prześliczne ineksprymable<sup>39</sup> w paski lub lśniące nieskazitelną białością. Przy tym wszyscy mieli spodnie ze strzemiączkami, jego zaś porcięta schodziły się bardzo niedoskonale z obcasami, do których skurczone brzegi materii objawiały gwałtowną antypatię. Lucjan miał białą krawatkę o rogach haftowanych przez siostrę, która, widząc podobne u pana du Hautoy, u pana de Chandour, skwapliwie postarała się o takie same dla brata. Nie tylko nikt, z wyjątkiem ludzi podeszłych, jakichś starych giełdziarzy, zasuszonych urzędników, nie nosił krawatki białej rano, ale jeszcze biedny Lucjan ujrzał po drugiej stronie bariery, na ulicy Rivoli, chłopca ze sklepu, z koszykiem na głowie, na którego szyi elegant z Angoulême dostrzegł końce krawata wyhaftowane ręką jakiejś ubóstwianej gryzетки<sup>40</sup>. Widok ten był dla Lucjana niby cios w piersi, w ten

---

<sup>39</sup> *ineksprymable* (przestarz., z fr. *inexprimable*: niewyraźalny) – spodnie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *gryzетка* (daw., z fr. *gris*: szary; *grisette*: tania, szara tkanina ubraniowa) – we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka. [przypis edytorski]

jeszcze niedokładnie określony organ, gdzie się mieści nasza wrażliwość i gdzie, od czasu jak istnieją uczucia, ludzie kładą rękę tak w nadmiernej radości, jak i bólu. Nie pomawiajcie tych szczegółów o dzieciństwo. Zapewne dla bogaczy, którzy nigdy nie zaznali tego rodzaju cierpienia, jest w tym wszystkim coś mizernego i niewiarygodnego; ale cierpienia nędzarzy tak samo zasługują na uwagę, jak wstrząsy, które łamią życie potężnych i uprzywilejowanych. Czyż nie zdarza się tyleż boleści z jednej, co i z drugiej strony? Cierpienie daje wielkość wszystkiemu. Wreszcie zmieńcie terminy: w miejsce ładnego stroju pomieście wstążeczkę, odznaczenie, tytuł. Te pozornie drobne rzeczy czyż nie były udręką wielu świetnych egzystencji? Kwestia stroju jest zresztą niezmiernie doniosła dla tych, którzy chcą mieć pozór, iż mają to, czego nie mają: często najlepszy sposób, aby to osiąść później. Lucjan oblał się zimnym potem na myśl, iż wieczorem ma się zjawić w tym ubraniu w obliczu margrabiny d'Espard, krewnej wielkiego ochmistrza dworu, kobiety, u której bywały wszelkie znakomitości, i to przesiane przez sito.

„Wyglądam na aptekarskiego synka, na chłopca sklepowego!” – powtarzał sobie z wściekłością, widząc dokoła zgrabnych, zalotnych, wyświeżonych młodych ludzi z arystokratycznych domów. Wszyscy mieli coś wspólnego we wzięciu, coś, co ich upodabniało między sobą wytwornością linii, szlachetnością ruchu, wyrazem; różnili się zaś ramą, jaką każdy sobie obrał, aby uwydatnić indywidualne zalety. Wszyscy podkreślali swoje korzystne strony za pomocą pewnej charakterystyki, na której

młodzi ludzie w Paryżu rozumieją się równie dobrze jak kobiety. Lucjan posiadał po matce ową cenną dystynkcję fizyczną, której przewagi połyskiwały mu przed oczami; ale to złoto było w rudzie, nieobrobione umiejętną ręką. Był źle ostrzyżony. Zamiast podtrzymać głowę gibkim halsztukiem<sup>41</sup>, chował ją niedbale w szpetnym kołnierzu koszuli; krawat, nie dając szyi oparcia, sprawiał, iż głowa zwieszała się żałośnie. Któżaż kobieta odgadłaby ładną nogę Lucjana w angulemskich buciorach? Któryż młody człowiek pozazdrościłby mu zgrabnej figury w niebieskim worku, wcielającym dotąd dla Lucjana paradne ubranie? Widział prześliczne spinki w koszulach olśniewającej białości, gdy jego była zrudziała! Wszyscy ci lalusie byli cudownie urękawicznieni, on zaś miał rękawice godne żandarma! Ten igrał sobie rozkosznie oprawną laseczką; ów miał koszulę o mankietach spiętych maleńkimi złotymi guziczkami. Mówiąc z kobietą, jeden wyginał śliczną szpicróżgę<sup>42</sup>, obfite zaś fałdy pantalonów, zbryzgane paroma drobnymi plamkami, dzwoniące ostrogi, obcisły rajtroczek<sup>43</sup> świadczyły, iż za chwilę wsiądzie z powrotem na jednego z dwóch koników trzymany w pogotowiu przez maleńkiego gruma<sup>44</sup>. Inny wyjmował z kieszeni

---

<sup>41</sup> *halsztuk* (daw.) – chustka na szyję, noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *szpicróżga* – szpicruta, elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciony z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *rajtrok* – dawny surdut z rozciętymi połami używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *grum* a. *groom* (ang.) – chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

zegarek płaski jak pięciofrankówka i spoglądał na godzinę z miną człowieka, który przybył zbyt wcześnie lub zbyt późno na schadzkę. Patrząc na te ładne bagatelki, których istnienia nie podejrzewał, Lucjan ujrzał przed sobą cały świat rzeczy niezbędnych, a zbytecznych i zadrzał na myśl, iż trzeba posiadać olbrzymi kapitał, aby mieć prawo być ładnym chłopcem! Im więcej podziwiał owych młodych ludzi o swobodnych i szczęśliwych twarzach, tym bardziej miał świadomość swej miny człowieka spadłego z księżycy, miny człowieka, który nie wie, skąd ani dokąd idzie, nie wie, gdzie jest Palais-Royal<sup>45</sup>, kiedy uderza weń nosem, i pyta przechodnia o drogę do Luwru, aby otrzymać odpowiedź: „Jest pan w nim”. Lucjan czuł, iż dzieli go od tego świata cała przepaść; pytał sam siebie, jak mógłby ją przebyć, chciał stać się podobny do smukłej i delikatnej paryskiej młodzieży. Wszyscy ci patrycjusze pozdrawiali ukłonem bosko ubrane i bosko piękne kobiety, dla których Lucjan dałby się posiekać za cenę jednego pocałunku, jak paź hrabiny Königsmarck<sup>46</sup>. W czeluściach jego pamięci Luiza, porównana z tymi królewnami, była starą kobietą. Spotkał tę i ową z kobiet, o których będzie się mówiło w historii XIX wieku, których

---

<sup>45</sup> *Palais-Royal* (fr.: Pałac Królewski) – pałac położony w centrum Paryża, 150 m od Luwru, zbudowany przez kardynała Richelieu, w latach 1643–1661 siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy w latach 1780–1784 wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *Aurora von Königsmarck* (1662–1728) – hrabina szwedzka, faworyta króla polskiego Augusta II. [przypis edytorski]

dowcip, uroda, miłostki zaćmią sławą monarchinie minionych wieków. Ujrzał przechodzącą olimpijską<sup>47</sup> dziewczynę, pannę des Touches, tak głośną pod mianem znakomitego pisarza Kamila Maupina, równie wielką przez swą piękność, jak przez bogactwa ducha, a której nazwisko powtarzali sobie po cichu przechodnie.

„Ach! – pomyślał w duchu – oto poezja!”

Czym była pani de Bargeton wobec tego anioła lśniącego młodością, nadzieją, przyszłością, o słodkim uśmiechu? Istoty, której czarne oko było rozległe jak niebo, jarzące jak słońce? Śmiała się, rozmawiając z panią Firmiani, jedną z najbardziej uroczych kobiet w Paryżu. Jakiś głos krzyknął w Lucjanie: „Inteligencja to dźwignia, którą porusza się świat”. Ale inny głos odkrzyknął, że punktem oparcia dla inteligencji jest pieniądz. Nie chcąc zostać pośród ruin swych marzeń i na scenie swej klęski, Lucjan skierował się ku Palais-Royal, wypytawszy się wprzód; nie znał jeszcze topografii swej dzielnicy. Wszedł do Véry'ego, zamówił, aby się wtajemniczyć w rozkosze Paryża, obiad zdolny pocieszyć go w rozpacz. Butelka bordeaux<sup>48</sup>, ostendzkie ostrygi, ryba, kuropatwa, torcik, owoce stanowiły *nec plus ultra*<sup>49</sup> jego pragnień. Zanurzył się w tej niewinnej

---

<sup>47</sup> *olimpijska* – tu: piękna jak boginie greckie, zamieszkujące górę Olimp. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *bordeaux* – wino z okolic francuskiego miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *nec plus ultra* (łac.) – nic ponad to; kraniec, nieprzekraczalna granica. [przypis edytorski]

rozpuście, obmyślając skarby dowcipu, jakie roztoczy wieczór przed panią d'Espard, obiecując sobie okupić mizериę dziwacznej garderoby bogactwem intelektualnym. Wyrwała go z marzeń chwila rachunku, wydzierając mu pięćdziesiąt franków, z którymi spodziewał się zejść daleko w Paryżu. Obiad kosztował tyle, co miesiąc egzystencji w Angoulême. Toteż Lucjan zamknął za sobą z szacunkiem drzwi tego pałacu, myśląc, że nigdy więcej nie przestąpi jego progu.

„Ewa miała słuszność – rzekł do siebie, idąc Galerią Kamienną do domu, aby zaczerpnąć nowy zapasik ze swej kasy – ceny w Paryżu inne są niż w Houmeau!”

Idąc, podziwiał sklepy krawców, myśląc równocześnie o toaletach, jakie widział rano.

– Nie – wykrzyknął – nie pokażę się w tych łachach pani d'Espard!

Pobiegł z chyżością jelenia do hotelu, wbiegł do pokoju, wziął sto talarów<sup>50</sup> i pośpieszył z powrotem do Palais-Royal, aby się ubrać od stóp do głowy. Widział, przechodząc, magazyny obuwia, bielizny, kamizelek, zakłady fryzjerskie, słowem, przysłał swą elegancję rozrzuconą w dziesiątkach sklepów. Pierwszy z brzegu krawiec dał mu przymierzyć ubrań, ile Lucjan zechciał, przekonywając go, iż wszystkie są ostatniej mody. Lucjan wyszedł jako właściciel zielonego fraka, białych pantalonów i kolorowej kamizelki za sumę dwustu franków.

---

<sup>50</sup> talar – w oryginale: *écu*, w XIX w. potoczna nazwa srebrnej monety pięciofrankowej. [przypis edytorski]

Rychło znalazł parę trzewików wykwinnych i leżących jak ulał. Wreszcie zakupiwszy wszystko, czego pragnął, zamówił fryzjera do hotelu, dokąd każdy z kupców dostawił swój towar. O siódmej wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do Opery, utrefiony jak lalka fryzjerska, połyskujący nową kamizelką, krawatką, ale nieco skrepowany w tym futerale. W myśl wskazówek pani de Bargeton spytał o lożę szambelańską. Na widok człowieka, któremu pożyczana elegancja dawała wygląd drużby z podmiejskiego wesela, kontroler poprosił o bilet.

– Nie mam.

– Zatem nie może pan wejść – brzmiała sucha odpowiedź.

– Jestem zaproszony przez panią d'Espard – rzekł.

– Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym – rzekł urzędnik, wymieniając niedostrzegalny uśmiech z kolegami.

W tej chwili pod arkadami zatrzymał się powóz. Strzelec, którego Lucjan nie poznał, odchylił stopień pojazdu, z którego wysiadły dwie strojne kobiety. Lucjan, nie chcąc się narażać na impertynencką uwagę kontrolera, aby się usunął, przepuścił obie damy.

– Ależ to właśnie margrabina d'Espard, którą jakoby pan zna – rzekł ironicznie kontroler.

Lucjan był tym bardziej oszołomiony, iż pani de Bargeton wyraźnie nie poznała go w nowym upierzeniu; ale kiedy podszedł bliżej, uśmiechnęła się i rzekła:

– Doskonale się składa, niech pan idzie z nami!

Kontrolerzy przestali się uśmiechać. Lucjan szedł za panią de

Bargeton, która wstępując po szerokich schodach, przedstawiła swego Rubemprégo kuzynce. Łoża szambelańska znajduje się w jednym z dwu symetrycznych załomów sali; jest na widoku i widać z niej na wszystkie strony. Lucjan umieścił się za panią de Bargeton, szczęśliwy, iż może znaleźć się w cieniu.

– Panie de Rubempré – rzekła uprzejmie margrabina – jest pan pierwszy raz w Operze, rozejrzyj się po sali, siadaj pan tu, z przodu, pozwalamy.

Lucjan usłuchał; właśnie kończył się pierwszy akt.

– Dobrze użyłeś czasu – szepnęła mu Luiza, po pierwszej chwili zdumienia spowodowanego przemianą Lucjana.

Luiza została ta sama. Sąsiedztwo modnej kobiety, margrabiny d'Espard, owej pani de Bargeton Paryża, szkodziło jej jeszcze: świetna paryżanka tak dobrze podkreślała braki parafianki, iż Lucjan, podwójnie uświadomiony błyszczącym światem w tej wspaniałej sali i towarzystwem niepospolitej damy, ujrzał wreszcie w biednej Anais de Nègrepelisse kobietę rzeczywistą, taką, jaką widzieli mieszkańcy Paryża: kobietę roslą, chudą, upstrzoną na twarzy drobnymi żyłkami, zwiędłą, więcej niż rudą, kościstą, niezręczną, pretensjonalną, sztuczną, parafiańską w sposobie mówienia, źle ubraną przede wszystkim! W istocie, fałdy znoszonej sukni paryskiej świadczą jeszcze o smaku, człowiek tłumaczy ją sobie, zgaduje, czym była; ale stara suknia z prowincji jest czymś niewytłumaczonym, jest śmieszna. Suknia i kobieta nie miały wdzięku ani świeżości: aksamit był wyświechtany zarówno jak cera. Lucjan, zawstydzony, iż mógł

kochać ten rybi szkielet, przyrzekł sobie skorzystać z pierwszego napadu cnoty Luizy, aby ją porzucić. Świetny wzrok chłopca pozwalał mu widzieć lornetki skierowane na tę arystokratyczną lożę. Najwykwintniejsze kobiety przyglądały się zapewne pani de Bargeton, wszystkie uśmiechały się. Jeżeli pani d'Espard odgadła po gestach i uśmiechach przyczynę sarkazmów, była na nie zupełnie niewrażliwa. Przede wszystkim każdy musiał odgadnąć w jej towarzyszce ubogą krewną z prowincji, taką, jaka może spaść na głowę każdemu w Paryżu. Następnie kuzynka wspomniała o swej toalecie, wyrażając niejaki obawy; pani d'Espard uspokoiła ją, spostrzegając, iż Anais, raz ubrana, rychło stanie się paryżanką. O ile pani de Bargeton zbywało na światowym obyciu, posiadała w zamian wrodzoną dumę kobiety wielkiej krwi i owo nieokreślone coś, co można nazwać rasą. Zatem w następny poniedziałek doczeka się odwetu. Zresztą pani d'Espard wiedziała, iż z chwilą gdy Paryż dowie się, że ta kobieta jest jej kuzynką, poniecha szyderstw i wstrzyma się z sądem do nowego egzaminu. Lucjan nie domyślał się odmiany, jaką w osobie Luizy sprawi wstążka na szyi, ładna suknia, modne uczesanie i rady pani d'Espard. Wstępując po schodach, margrabina zwróciła już kuzynce uwagę, aby nie trzymała chustki w ręce. Dobry smak opiera się na tysiącu takich drobnych odcieni, które kobieta pojętna chwytą szybko, a których wiele kobiet nie zrozumie nigdy. Pani de Bargeton, już pełna dobrej woli, aż nadto była zdolna spostrzec się, czym grzeszyła. Pani d'Espard, pewna, iż wychowanica przyniesie jej zaszczyt, godziła

się służyć jej za mentorkę. Słowem, stanął między dwiema kobietami pakt umocniony obopólnym interesem. Pani de Bargeton powzięła od pierwszej chwili kult dla modnej kobiety, której wzięcie, dowcip i otoczenie oczarowały ją, porwały, olśniły. Poznała w pani d'Espard potęgę ambitnej wielkiej damy i powiedziała sobie, iż dojdzie do celu, czyniąc się satelitą tej gwiazdy: okazała więc otwarcie swoje uwielbienie. Margrabina, mile pogłaskana tym naiwnym zachwytem, zainteresowała się kuzynką, widząc ją słabą i biedną; przy tym dość było jej na rękę zyskać wychowanicę, stworzyć „szkołę”. Nie była od tego, aby w pani de Bargeton urobić sobie rodzaj damy dworu, niewolnicę, która by śpiewała jej pochwały, skarb jeszcze rzadszy między kobietami w Paryżu niż oddany krytyk w falandze<sup>51</sup> literackiej.

Tymczasem ruch ogólnej ciekawości stawał się zbyt widoczny, aby nowo przybyła nie spostrzegła go, mimo iż pani d'Espard starała się grzecznie odwrócić jej uwagę.

– Skoro nas kto odwiedzi – rzekła margrabina – dowiemy się może, dzięki czemu mamy zaszczyt zajmować te panie...

– Podejrzewam mocno, że ta stara aksamitna suknia i moja angulemska postać bawi paryżanki – rzekła, śmiejąc się pani de Bargeton.

– Nie, to nie to; jest coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć – dodała, odwracając się ku poecie, na którego spojrzała pierwszy raz i który wydał się jej szczególnie ubrany.

---

<sup>51</sup> *falanga* – zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty w staroż. Grecji; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

– O, pan du Châtelet – rzekł Lucjan, pokazując palcem łożę pani de Sérisy, dokąd stary piękniś, wyświeżony, wszedł właśnie.

Na ten gest pani de Bargeton zagryzła wargi ze złości, margrabina bowiem nie mogła powstrzymać spojrzenia i zdziwionego uśmiechu, które mówiły tak wzgardliwie: „Gdzie się chował ten młody człowiek?” – że Luiza uczuła się upokorzona w swej miłości, uczucie najdotkliwsze dla Francuzki i nie do przebaczenia kochankowi, który ją o nie przyprawił. W tym świecie, gdzie małe rzeczy stają się wielkimi, jeden gest, słowo gubią nowicjusza. Główną zaletą dobrych form i wykwintnego tonu jest harmonijna całość, w której wszystko się spływa, nic nie razi. Nawet ci, którzy przez nieświadomość lub napór myśli nie przestrzegają prawideł tej wiedzy, rozumieją, iż w owej materii jeden rozdźwięk jest, jak w muzyce, zaprzeczeniem samej sztuki, której wszystkie warunki muszą być zachowane w najdrobniejszej rzeczy, pod grozą nieistnienia.

– Kto jest ten pan? – spytała margrabina, wskazując wzrokiem Châteleta. – Czy znasz już panią de Sérisy?

– A! Ta pani to słynna pani de Sérisy, która miała tyle przygód, a którą mimo to przyjmują wszędzie!

– Rzecz niesłychana, moja droga – odparła margrabina – rzecz dająca się wytłumaczyć, ale niewytłumaczona! Ludzie najwpływowksi należą do jej przyjaciół, a czemu? Nikt nie śmie zgłębiać tej tajemnicy. Więc ten pan to lew angulemski?

– Ależ baron du Châtelet – rzekła Anais (przez próżność przywracała mu w Paryżu tytuł, którego dotąd odmawiała

swemu wielbicielowi) – to człowiek, który narobił wiele hałasu. To ów towarzysz pana de Montriveau.

– Ach – rzekła margrabina – nie mogę słyszeć tego nazwiska, aby nie pomyśleć równocześnie o biednej księżnej de Langeais, która znikła niby spadająca gwiazda! Oto – rzekła, wskazując jedną z łóż – pan de Rastignac i pani de Nucingen, żona dostawcy, bankiera, spekulanta, pośrednika na wielką skalę, człowieka, który narzuca się Paryżowi przez swój majątek i który, jak słyhać, niewiele ma skrupułów w jego pomnażaniu. Robi wszelkie wysiłki, aby przekonać świat o swym przywiązaniu do Burbonów; próbował już nawet dostać się do mnie. Biorąc lożę pani de Langeais, żona jego mniemała, iż odziedziczy także jej urok, dowcip i powodzenie. Wiecznie bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra!<sup>52</sup>

– W jaki sposób państwo de Rastignac, o których wiadomo, że nie mają ani tysiąca talarów renty<sup>53</sup>, mogą utrzymać syna w Paryżu? – rzekł Lucjan do pani de Bargeton, zdumiony elegancją i zbytkiem, jakim lśniła postać młodego człowieka.

– Łatwo poznać, że pan przebywa z Angoulême – odparła dość ironicznie margrabina, nie odejmując lornetki.

Lucjan nie zrozumiał, pochłonięty obserwowaniem łóż, w których odgadywał sądy świata o pani de Bargeton i ciekawość,

---

<sup>52</sup> bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra – odniesienie do bajki La Fontaine'a (ks. IV, bajka 9). [przypis edytorski]

<sup>53</sup> renta – tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

jakiej sam był przedmiotem. Co do Luizy, szczególnie była dotknięta obojętnością margrabinę na urodę Lucjana.

„Nie jest zatem tak piękny, jak mniemałam!” – mówiła sobie.

Od tego do obniżenia sądu o jego geniuszu był tylko krok. Skoro kurtyna zapadła, Châtelet, który złożył wizytę księżnej Carigliano w sąsiedniej łoży, skłonił się pani de Bargeton, która odpowiedziała skinieniem głowy. Kobieta światowa widzi wszystko, toteż margrabina zauważyła nieskazitelną elegancję Châteleta. W tej chwili cztery osoby weszły kolejno do łoży margrabinę, cztery paryskie znakomitości.

Pierwszym był pan de Marsay, człowiek słynny przez namiętności, jakie budził, zwracający uwagę zwłaszcza swą urodą iście dziewczęcą, urodą miękką, zniewieściałą, ale podkreśloną spojrzeniem niezłomnym, spokojnym, drapieżnym i ostrym jak spojrzenie tygrysa: kochano go i bano się zarazem. Lucjan był równie piękny, ale jego spojrzenie było tak słodkie, niebieskie oko tak przejrzyste, iż nie wydawał się zdolny do tej siły i potęgi, która tak działa na kobiety. Zresztą nic nie dodawało jeszcze ceny urodzie Lucjana, gdy de Marsay posiadał inteligencję, pewność siebie, strój podkreślający jego zalety; jakoż miażdżył dokoła rywali. Osądźcie, czym mógł być przy nim Lucjan, nieswój, wykrochmalony, sztywny i nowy jak jego ubranie! De Marsay zdobył sobie prawo mówienia impertynencji dzięki dowcipowi i urokowi form, jaki im towarzyszył. Przyjęcie margrabinę od razu objaśniło pani de Bargeton potęgę tej osobistości. Drugim z gości

był jeden z braci Vandenesse, ten, który stał się przyczyną skandalu lady Dudley, łagodny, inteligentny, skromny młody człowiek: typ zgoła przeciwny pysznemu de Marsay – inne zatem cechy charakteru zdecydowały o jego karierze. Kuzynka margrabiny, pani de Mortsauf, poleciła go jej gorąco. Trzecim był generał de Montriveau, sprawca zguby księżny de Langeais, czwartym pan de Canalis, jeden z najznakomitszych poetów epoki, młody człowiek jeszcze w zaraniu sławy, który, dumniejszy ze swego szlachectwa niż z talentu, nadskakiwał ostentacyjnie pani d'Espard, aby ukryć swe miłości z księżną de Chaulieu. Pod powłoką wdzięku, skażonego nieco afektacją, zgadywało się olbrzymią ambicję, która później pchnęła go w burzę politycznego życia. Uroda jego, niemal chłopięca, pieszczotliwe obejście niedostatecznie kryły głęboki egoizm i wieczną rachubę problematycznej wówczas egzystencji; ale wybór jego skierowany na panią de Chaulieu, kobietę przeszło czterdziestoletnią, stał się dlań źródłem dobrodziejstw dworu, sympatii Dzielnicy Saint-Germain<sup>54</sup> i obelg liberałów, nazywających go poetą zakrystii.

Widząc tych czterech tak wybitnych ludzi, pani de Bargeton zrozumiała, czemu margrabina nie zwróciła uwagi na Lucjana. Następnie, kiedy zaczęła się rozmowa, kiedy każdy z tych umysłów, tak subtelnych, tak delikatnych, odsłonił się paroma błyskami, w których było więcej dowcipu, więcej głębi niż we

---

<sup>54</sup> *dzielnica Saint-Germain* – właśc. Saint-Germain-des-Prés, lewobrzeżna dzielnica Paryża, od poł. XVIII w. zamieszkiwana przez arystokrację. [przypis edytorski]

wszystkim, co Anais słyszała przez miesiąc na prowincji, kiedy zwłaszcza wielki poeta rzucił parę lotnych słów, w których malował się cały zmysł epoki, pozytywny, ale ozłocony poezją, Luiza pojęła to, co Châtelet powiedział jej wczoraj: Lucjan był już niczym. Każdy patrzył na biednego intruza z tak okrutną obojętnością, był on tam tak zupełnie cudzoziemcem nieznanym języka, że margrabinie żal się go zrobiło.

– Pozwoli pan – rzekła do Canalisa – że mu przedstawię pana de Rubempré. Zajmuje pan w literaturze zbyt wysokie stanowisko, aby nie przygarnąć młodego adepta. Pan de Rubempré przybywa z Angoulême, będzie z pewnością potrzebował pańskiego poparcia u tych, którzy stawiają tutaj talent na świeczniku. Nie ma jeszcze wrogów, którzy mogliby mu stworzyć powodzenie swymi atakami. Czyż nie byłoby dziełem dość oryginalnym, godnym, aby się o nie pokusić, zyskać mu ręką przyjaźni, co pan otrzymał z ręki nienawiści?

Podczas słów margrabinicy czterej nowo przybyli spojrzeli na Lucjana. Mimo iż był o dwa kroki, de Marsay podniósł lornetkę, aby się mu przypatrzeć. Spojrzenie jego przechodziło z Lucjana na panią de Bargeton, z pani de Bargeton na Lucjana, kojarząc ich szyderczo w parę, a myśl ta okrutnie upokorzyła oboje; przyglądał się im jak dwojgu osobliwym zwierzętom i uśmiechał się. Uśmiech ten był niby żgniecie sztyletu dla wielkiego człowieka z prowincji. Feliks de Vandenesse przybrał wyraz miłosierny. Montriveau rzucił na Lucjana spojrzenie zdolne przeniknąć go do rdzenia.

– Pani – rzekł Canalis, pochylając głowę – będę posłuszny, mimo iż osobisty interes każe nie hodować sobie rywali; ale pani przyzwyczaiła nas do cudów.

– Dobrze więc, zrobi mi pan tę przyjemność, aby przyjść na obiad w poniedziałek z panem de Rubempré, pomówicie swobodniej niż tutaj o sprawach literackich; będę się starała ściągnąć kilku władców literatury oraz znakomitości, które ją popierają, autorkę *Uriki*<sup>55</sup> i kilku dobrze myślących młodych poetów.

– Pani margrabino – rzekł de Marsay – jeżeli pani popiera pana de Rubempré dla zalet ducha, ja gotów jestem zająć się nim dla jego urody; dam mu parę rad, które uczynią go jednym z najszcześniejszych dandysów Paryża. Później, gdy zechce, może być poetą.

Pani de Bargeton podziękowała kuzynce pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Nie wiedziałem, że jesteś zazdrosny o ludzi z talentem – rzekł Montriveau do de Marsaya. – Szczęście zabija poetów.

– Czy dlatego może nasz mistrz pragnie się ożenić? – odparł dandys, zwracając się do Canalisa, aby zobaczyć, jak pani d'Espard przyjmie ten docinek.

Canalis wzruszył ramionami, a pani d'Espard, przyjaciółka pani de Chaulieu, zaczęła się śmiać.

---

<sup>55</sup> *Urika* – francuska powieść z 1823, autorstwa księżnej Claire de Duras (1777–1828), opowiadająca o młodej Murzynce w Paryżu, wychowanej zgodnie ze standardami dziewcząt z wyższych sfer, lecz nieszczęśliwej z powodu koloru skóry. [przypis edytorski]

Lucjan, który czuł się w zbyt nowych szatach skrepowany jak mumia egipska, wstydził się, że się nie umie zdobyć na żadną odpowiedź. Wreszcie rzekł miękko do margrabinie:

– Dobroć pani skazuje mnie na same sukcesy.

W tej chwili wszedł Châtelet, chwytając w lot sposobność znalezienia oparcia wobec margrabinie w osobie generała Montriveau, jednego z królów Paryża. Skłonił się pani de Bargeton i poprosił panią d'Espard, aby mu przebaczyła śmiałość, z jaką wtargnął do loży: od tak dawna nie miał sposobności spotkać się ze swoim towarzyszem podróży! Montriveau i on widzą się po raz pierwszy, rozstawszy się w szczerzej pustyni!

– Rozstać się w pustyni i odnaleźć się w Operze! – rzekł Lucjan.

– Iście teatralne spotkanie – dodał Canalis.

Montriveau przedstawił barona du Châtelet margrabinie, ta zaś przyjęła ekssekretarza do szczególnych poruczeń Cesarskiej Wysokości tym uprzejmiej, ile że widziała go już mile witanego w trzech lożach, że pani de Sérisy dopuszczała jedynie ludzi dobrze postawionych i że wreszcie był towarzyszem generała Montriveau. Ten ostatni tytuł miał taką wartość, że pani de Bargeton mogła zauważyć w tonie, w spojrzeniach i obejściu czterech gości margrabinie, iż uznają bez dyskusji Châteleta za jednego ze swoich. Nais zrozumiała nagle sułtańskie tony Châteleta na prowincji. Wreszcie Châtelet ujrzał Lucjana; pozdrowił go suchym i zimnym ukłonem, za pomocą którego

jeden mężczyzna podcina nogi drugiemu, podkreślając wobec świata jego nicość. Ukłonowi towarzyszył drwiący wyraz, który zdawał się mówić: „Jakim cudem ten tutaj?” Zrozumiano go, de Marsay bowiem nachylił się do generała, mówiąc mu do ucha tak, aby baron go słyszał:

– Niech się pan spyta, kto jest ten lalusz wyglądający jak manekin z magazynu gotowych ubrań.

Châtelet szeptał chwilę do swego towarzysza, odciągawszy go jak gdyby dla omówienia wspomnień, i z pewnością oskubał rywala do nitki. Lucjan był zdumiony ciętością, przytomnością umysłu, z jaką ci ludzie formułowali swoje odpowiedzi, oszołomiony błyskotliwością ich dowcipu, zwłaszcza lekkością słowa i swobodą wzięcia. Zbytek, który rano przeraził go w szczegółach zewnętrznych, teraz odsłaniał mu się w dziedzinie myśli. Zapytywał sam siebie, za pomocą jakiego sekretu ludzie ci znajdują na końcu języka trafne odpowiedzi, spostrzeżenia, jakie on byłby zdolny wysmażyć chyba po długim rozmyślaniu. A przy tym u tych pięciu światowców czuło się swobodę nie tylko w słowach, ale i w stroju: nie mieli na sobie nic nowego ani nic starego. Nic w nich nie błyszczało, a wszystko wabiło oko. Zbytek ich robił wrażenie czegoś codziennego, wrodzonego. Lucjan czuł, iż wygląda na człowieka, który się ubrał po raz pierwszy w życiu.

– Patrz no, patrz – rzekł Marsay do Feliksa de Vandenesse – ten hultaj Rastignac pomyka jak kula karabinowa! Ot, widzisz go u margrabiny de Listomère, robi postępy, lornetuje nas!

Zapewne musi znać pana... – ciągnął dandys, zwracając się do Lucjana, ale nie patrząc nań.

– Trudno przypuścić – odparła pani de Bargeton – aby nazwisko wielkiego człowieka, z którego jesteśmy dumni, nie doszło do pana de Rastignac: siostra jego słyszała niedawno pana de Rubempré, jak nam czytał bardzo piękne wiersze.

Feliks de Vandenesse i de Marsay pożegnali margrabinę i przeszli do pani de Listomère, siostry Vandenesse'ów. Zaczął się drugi akt; pani d'Espard, kuzynka jej i Lucjan zostali sami. Jedni śpieszyli wytłumaczyć postać pani de Bargeton kobietom zaintrygowanym jej obecnością, drudzy obwieścili przybycie poety i żartowali z jego stroju. Canalis udał się do loży księżnej de Chaulieu i już nie wrócił. Lucjan był wielce rad, iż uwaga zwróciła się na przedstawienie. Obawy pani de Bargeton co do Lucjana wzmożły się pod wrażeniem względów, jakie kuzynka okazała baronowi du Châtelet: przyjęcie to miało zupełnie inny charakter niż protekcyjna grzeczność wobec Lucjana. Podczas drugiego aktu w loży pani de Listomere zostało pełno gości, bohaterami zaś rozmowy byli pani de Bargeton i Lucjan. Młody Rastignac widocznie zabawiał całe towarzystwo, dawał tempo owemu paryskiemu śmiechowi, który, rzucając się co dnia na inne pożywienie, śpieszy co prędzej wyczerpać swój przedmiot, czyniąc zeń w jednej chwili coś starego i zużytego. Pani d'Espard, niespokojna, wiedząc, iż świat nie zwykł długo zostawiać interesowanych osób w nieświadomości obmowy, czekała końca aktu. Kiedy uczucia raz zaczną analizować

same siebie, jak u Lucjana i u pani de Bargeton, wówczas dzieją się osobliwe rzeczy w niedługim czasie: przewroty duchowe spełniają się na mocy praw działających z nieubłaganą szybkością. Luiza miała w pamięci wytrawne słowa, jakimi Châtelet oświecił jej Lucjana, wracając z Vaudeville. Każde było proroctwem; Lucjan wziął sobie jakby za zadanie, aby je ziścić wszystkie. Tracąc złudzenia co do pani de Bargeton, jak pani de Bargeton co do niego, biedny chłopiec, którego losy podobne były nieco do losów Jana Jakuba Rousseau<sup>56</sup>, naśladował go do tego stopnia, iż dał się olśnić urokowi pani d'Espard i zadurzył się w niej w jednej chwili. Ludzie młodzi albo ci, którzy pamiętają wzruszenia młodości, rozumieją, iż uczucie to było czymś nader prawdopodobnym i naturalnym. Tysiąc wykwintnych drobiazgów w obejściu, delikatny sposób mówienia, szlachetny dźwięk głosu, ta kobieta tak wiotka, tak dumna, tak wysoko postawiona, budząca tyle zazdrości, ta królowa olśniła poetę tak, jak pani de Bargeton olśniła go w Angoulême. Wrażliwość charakteru popchnęła go rychło do zamarczenia o tym wysokim oparciu; najpewniejszym środkiem byłoby zdobyć tę kobietę, wówczas miałby wszystko! Powiodło mu się w Angoulême; czemuż nie miałoby się powieść w Paryżu? Bezwiednie, mimo tak nowych dla niego czarodziejstw Opery, spojrzenia jego,

---

<sup>56</sup> *Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) – pisarz francuski, zaliczany do nurtu sentymentalnego, zwolennik życia blisko natury, krytyk cywilizacji, prekursor romantyzmu; jako młody człowiek, który porzucił miasto rodzinne, został utrzymaniem, a następnie również kochankiem starszej o 13 lat baronowej de Warens. [przypis edytorski]

urzeczone przez tę wspaniałą Celimene<sup>57</sup>, kierowały się do niej; im więcej na nią patrzył, tym więcej pragnął patrzeć! Pani de Bargeton podchwyciła jarzący błysk oczu Lucjana; zaczęła go obserwować i spostrzegła, że więcej zajęty jest margrabiną niż przedstawieniem. Byłaby się zgodziła ustąpić Lucjana pięćdziesięciu córom Danaosa<sup>58</sup>; ale kiedy spojrzenie bardziej ambitne, bardziej namiętne i wymowne od innych wy tłumaczyło jej, co się dzieje w sercu Lucjana, uczuła się zazdrosna, nie tyle o przyszłość, co o przeszłość.

„Nigdy tak na mnie nie patrzył – pomyślała. – Mój Boże, Châtelet miał słuszość!”

Poznała wówczas swą omyłkę. Kiedy kobieta dojdzie do tego, iż żałuje swej słabości, przeciąga niby gąbką po całym życiu, aby wymazać zeń wszystko. Mimo iż każde spojrzenie Lucjana przepęłniało ją gniewem, zachowała spokój. W międzyakcie zjawił się de Marsay, prowadząc pana de Listomère. Poważny człowiek i młody wietrznik<sup>59</sup> uświadomili niebawem dumną margrabinę, że ów wyświeżony družba, którego miała nieszczęście wpuścić do łoża, tak samo nie nazywa się de

---

<sup>57</sup> *Celimena* – piękna młoda wdowa z komedii Moliera *Mizantrop*, inteligentna i zalotna. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *córy Danaosa* (mit. gr.) – 50 córek króla Danaosa, zwanych Danaidami: zmuszone do małżeństwa ze swymi stryjecznymi braćmi, na rozkaz ojca w noc poślubną zamordowały swoich mężów, za co zostały skazane w Tartarze na napełnianie wodą beczki bez dna. Tylko najmłodsza z nich, Hypermestra, ocaliła swego męża. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *wietrznik* (daw.) – człowiek lekkomyślny i niestały. [przypis edytorski]

Rubempré, jak Żyd nie posiada chrzestnego imienia. Lucjan jest synem aptekarza nazwiskiem Chardon. Pan de Rastignac, doskonale znający stosunki w Angoulême, ubawił już dwie łoże kosztem mumii, którą margrabina nazywa swą kuzynką, oraz przezorności, z jaką ta dama prowadzi ze sobą aptekarza, zapewne by za pomocą eliksirów podtrzymywać swoje sztuczne życie. Wreszcie de Marsay powtórzył kilka próbek z owego tysiąca żarcików, jakie komponują w lot paryżanie i które, ledwie rzucone, giną w zapomnieniu, ale poza którymi krył się Châtelet, twórca tej isticie punickiej zdrady<sup>60</sup>.

– Moja droga – szepnęła spod wachlarza pani d'Espard – powiedz mi, jeśli łaska, czy twój protegowany nabywa się w istocie de Rubempré?

– Przyjął nazwisko matki – rzekła Anais, zakłopotana.

– A nazwisko ojca?

– Chardon.

– I co robił ten Chardon?

– Był aptekarzem.

– Byłam pewna, moja droga, że cały Paryż nie może sobie drwić z kobiety, którą ja wprowadzam. Nie mam ochoty czekać, aż przyjdą tu żartownisie, zachwyceni, iż widzą mnie w towarzystwie aptekarskiego synka; jeśli nie masz nic przeciw temu, wyjdziemy, i to natychmiast.

---

<sup>60</sup> *punicka zdrada* – wyjątkowo podstępna zdrada; Rzymianie oskarżali walczących z nimi Kartagińczyków (Punijczyków) o podstępne łamanie traktatów i umów. [przypis edytorski]

Pani d'Espard przybrała minę dość impertynencką, tak iż Lucjan próżno łamał sobie głowę, w czym mógł dać powód do tej odmiany. Pomyślał, że kamizelka jego jest w złym smaku, co było prawdą, że krój fraka grzeszy przesadą, co było również prawdą. Przejrzał z tajemną goryczą, iż trzeba się ubierać u dobrego krawca, i przyrzekł sobie udać się nazajutrz do najświetniejszego, aby móc w najbliższy poniedziałek rywalizować z gośćmi margrabiny. Mimo iż tonął w refleksjach, oczy jego, przykute trzecim aktem, nie opuszczały sceny. Wpatrzony w przepych tego jedyne w świecie widowiska, oddawał się marzeniu o pani d'Espard. Czuł się zgnębiony jej nagłym chłodem, będącym w osobliwej sprzeczności z żarem wyobraźni, z jakim on rzucał się w nową miłość, bez troski o ogromne trudności, które spostrzegał i które przyrzekał sobie zwyciężyć. Ocknął się z głębokiej zadumy, aby spojrzeć na swe nowe bóstwo; ale obróciwszy głowę, ujrzał się sam. Usłyszał lekki szelest; drzwi zamykały się właśnie, pani d'Espard uprowadzała kuzynkę. Lucjan zdumiał się tym nagłym zniknięciem, ale nie myślał o nim długo właśnie dlatego, iż było niewytłumaczone.

Kiedy obie panie wsiadły do powozu, który potoczył się przez ulicę Richelieu ku Dzielnicy Saint-Honoré, margrabina rzekła z ledwie hamowanym gniewem:

– Moje drogie dziecko, co ty wyrabiasz? Ależ zaczekaj, aż syn aptekarza naprawdę będzie sławny, aby się nim zainteresować. Księżna de Chaulieu nie przyznaje się jeszcze do Canalisa,

który jest sławny i który jest szlachcicem. Ten chłopak nie jest ani twoim synem, ani kochankiem, prawda? – rzekła ta pyszna kobieta, obrzucając kuzynkę badawczym i przenikliwym spojrzeniem.

„Cóż za szczęście, że trzymałam smarkacza na wodzy i nie dopuściłam go do niczego!” – pomyślała pani de Bargeton.

– Więc dobrze – podjęła margrabina, która wzięła wyraz jej oczu za odpowiedź – zostawże go, zaklinam cię. Uzurpować sobie świetne nazwisko!... Ależ to zuchwalstwo godne najcięższej kary! Chcę wierzyć, że to nazwisko matki; ależ pomyśl, moja droga, że tylko król ma prawo przyznać dekretem swoim nazwisko de Rubempré synowi córki tego domu. Jeśli popełniła mezalians, łaska byłaby ogromna; aby ją uzyskać, trzeba ogromnej fortuny, ważnych usług, wysokiego poparcia. Wygląd wystrojonego na niedzielę sklepikarza świadczy, że ten chłopiec nie jest ani bogaty, ani szlachcic; jest przystojny, ale wydaje mi się bardzo ograniczony, nie umie ani zachować się, ani odezwać; słowem, nie jest wychowany. Jakimż trafem ty się nim zajęłaś?

Pani de Bargeton, która zaparła się Lucjana, jak Lucjan zaparł się jej w duszy, uczuła przeraźliwy lęk, aby kuzynka nie dowiedziała się prawdy.

– Droga kuzynko, jestem doprawdy w rozpacz, że cię skompromitowałam.

– Mnie się nie kompromituje – rzekła z uśmiechem pani d'Espard. – Myślę jedynie o tobie.

– Ale zaprosiłaś go na obiad.

– Będę cierpiąca – rzekła żywo margrabina – uprzedzisz go o tym, a ja wpiszę go, pod oboma nazwiskami, na czarną listę u szwajcara<sup>61</sup>.

Lucjan postanowił udać się w antrakcie<sup>62</sup> do *foyer*<sup>63</sup>, dokąd widział, iż wszyscy śpieszyli. Przede wszystkim żadna z osób, które odwiedziły łożę pani d'Espard, nie pozdrowiła go ani nie zwracała nań uwagi, co wydało się prowincjonalnemu poecie bardzo dziwne. Następnie Châtelet, o którego próbował się zaczepić, śledził go spod oka i wymykał mu się nieustannie. Doszedłszy do przekonania, przez porównanie z mężczyznami krążącymi po *foyer*, że strój jego jest dość komiczny, Lucjan wcisnął się z powrotem w kąt łoży i wytrwał do końca, kolejno pochłonięty baletem wspaniałym, a słynnym – w akcie piątym – dzięki obrazowi piekła, widokiem sali, po której spojrzenie jego wędrowało od łoży do łoży, i własnymi refleksjami, które w obliczu paryskiego społeczeństwa nabrały osobliwej głębi.

„Oto moje królestwo – rzekł do siebie – oto świat, który muszę pokonać!”

Wrócił pieszo, przetrawiając powiedzenia osób, które poznał w łoży; ich wzięcie, ruchy, wszystko odbijało się w jego

---

<sup>61</sup> *szwajcar* (daw.) – odzwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *antrakt* – przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *foyer* – pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa publiczność. [przypis edytorski]

pamięci z zadziwiającą wiernością. Nazajutrz koło południa pierwszym jego staraniem było udać się do Stauba, wówczas najgłośniejszego krawca. Uzyskał siłą prośb i potęgą gotowizny<sup>64</sup>, iż krawiec obiecał wykończyć suknie na ów sławny poniedziałek. Staub posunął się w ustępstwach tak daleko, iż przyrzekł na ów dzień rozstrzygający prześliczny redyngocik<sup>65</sup>, kamizelkę i pantalony. Lucjan zamówił koszulę, chustki, słowem, całą wyprawkę u bieliźniarki i kazał sobie wziąć miarę na trzewiki i buty u słynnego szewca. Kupił u Verdiera ładną laskę, rękawiczki i spinki do koszuli u pani Irlande, słowem, starał się wspiąć do wyżyn dandysów. Kiedy zaspokoił swe marzenia, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie nie zastał Luizy w domu.

– Pani będzie na obiedzie u pani d'Espard i wróci późno – rzekła Albertyna.

Lucjan spożył dwufrankowy obiad w garkuchni w Palais-Royal i położył się wcześniej spać. W niedzielę o jedenastej udał się do Luizy; jeszcze nie wstała. Wrócił o drugiej.

– Pani nie przyjmuje jeszcze – rzekła Albertyna – ale dała mi list dla pana.

– Nie przyjmuje jeszcze? – powtórzył Lucjan. – Ależ ja nie jestem obcy...

– Nie wiem – rzekła Albertyna z impertynencką miną.

Lucjan, mniej zdumiony odpowiedzią Albertyny niż tym, że

---

<sup>64</sup> *gotowizna* (daw., pot.) – pieniądze w gotówce. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *redyngot* (daw.) – długi surdut z dwoma rzędami guzików, używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]

otrzymuje list od pani de Bargeton, wziął bilecik i przeczytał na ulicy te okrutne słowa:

Pani d'Espard jest niezdrowa, nie będzie mogła przyjąć Pana w poniedziałek. Ja także nie czuję się dobrze; mimo to ubiorę się, aby jej dotrzymać towarzystwa. Jestem bardzo zmartwiona tą drobną przeciwnością, ale Pańskie talenty dodają mi otuchy, nie wątpię, iż wybijesz się bez szarlatanerii.

– Nie ma nawet podpisu! – rzekł do siebie Lucjan, który znalazł się w Tuileriach, nie wiedząc kiedy.

Dar jasnowidzenia, jaki posiadają niekiedy artyści, pozwolił mu przewidzieć katastrofę, którą zwiastował ten chłodny bilecik. Szedł zatopiony w myślach, przed siebie, patrząc na pomniki zdobiące plac Ludwika XV<sup>66</sup>. Była pogoda. Strojne powozy przejeżdżały nieustannie przed oczyma Lucjana, kierując się ku Polom Elizejskim<sup>67</sup>. Wmieszał się w tłum przechodniów i ujrzał kilka tysięcy powozów, które przy pogodzie napływają tu w niedzielę, przywodząc na myśl wyprawy do Longchamp<sup>68</sup>. Oszołomiony zbytkiem koni, toalet i liberii, szedł wciąż dalej

---

<sup>66</sup> *plac Ludwika XV* – ob. plac Zgody. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *Pola Elizejskie* – reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *Longchamp* – dawne opactwo pod Paryżem, zamknięte w 1790, zburzone w 1793; jego tereny, położone na skraju Lasku Bulońskiego, stały się ulubionym miejscem przechadzek. [przypis edytorski]

i zaszedł aż do rozpoczętej budowy Łuku Triumfalnego<sup>69</sup>. Cóż się w nim działo, kiedy wracając, ujrzał zbliżającą się ku niemu panią d'Espard i panią de Bargeton w prześlicznie zaprzężonym pojeździe. Ujrzał powiewające z tyłu pióra strzelca, którego poznał po zielonej, haftowanej złotem liberii. Sznur powozów zatrzymał się z powodu natłoku. Lucjan mógł się przyjrzeć Luizie w nowym przebraniu: była nie do poznania. Kolory toalety dobrane były w sposób uwydatniający cerę, suknia zachwycająca, włosy ułożone ze smakiem, kapelusz, w najlepszym guście, nie tracił nawet przy kapeluszu pani d'Espard, która dawała ton modzie. Jest pewien nieokreślony sposób noszenia kapelusza: włóżcie kapelusz nieco w tył, wyraz twarzy będzie bezczelny; zanadto naprzód – ponury; na bok – mina zawadiacka; kobiety dystyngowane kładą kapelusz jak chcą i zawsze wyglądają dobrze. Pani de Bargeton od razu rozwiązała ten szczególny problem. Ładny pasek uwydatniał smukłą kibić. Przejęła ruchy i zachowanie kuzynki; siedząc podobnie jak ona, igrała wytwornym puzderkiem z wonnościami, umocowanym na łańcuszku, pokazując, niby bez zamiaru, ładną rękę w zgrabnej rękawiczce. Słowem, upodobniła się do pani d'Espard, nie naśladowując jej niewolniczo; okazała się godną krewniaczką margrabiny, która widocznie była dumna z

---

<sup>69</sup> *Łuku Triumfalny w Paryżu* – pomnik na zachodnim skraju Pól Elizejskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego, zbudowany dla uczczenia wszystkich, którzy walczyli i polegli za Francję w czasie wojen rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich; jego budowę rozpoczęto w 1806, na polecenie Napoleona, ukończono w 1836. [przypis edytorski]

uczennicy. Przechodnie spoglądali na świetny powóz o herbach d'Espard i Blamont-Chauvry, których godła zespolone były na tarczy. Lucjan patrzył ze zdumieniem, ile osób kłaniało się obu paniom; nie domyślał się, że cały ten Paryż, który mieści się w dwudziestu salonach, wiedział już o ich pokrewieństwie. Młodzi jeźdźcy, między którymi Lucjan zauważył de Marsaya i Rastignaca, przyłączyli się do pojazdu, aby przeprowadzić panie do Lasku. Łatwo było Lucjanowi poznać po ruchach obu fircyków, iż komplementowali panią de Bargeton za jej metamorfozę. Pani d'Espard promieniała wdziękiem i zdrowiem: zatem niedomaganie było pozorem, aby nie przyjąć Lucjana; nie przełożyła obiadu na inny dzień! Poeta, wściekły, zbliżył się wolnym krokiem do pojazdu i kiedy osądził, iż mogą go spostrzec, ukłonił się. Pani de Bargeton udała, że nie widzi, margrabina spojrzała przez szkiełka i nie oddała ukłonu. Ostracyzm arystokracji paryskiej inny był niż dąsy potentatów z Angoulême; siląc się zranić Lucjana, tamci szlachetkowie uznawali jego potęgę i uważali go za człowieka, gdy dla pani d'Espard nawet nie istniał. To nie był wyrok, to było przejście nad nim do porządku. Śmiertelne zimno przeniknęło biednego poetę, kiedy de Marsay zwrócił nań swoje szkiełka; lew paryski upuścił lorgnon<sup>70</sup> tak szczególnym ruchem, iż zdawało się Lucjanowi, że to spada nóż gilotyny. Powóz przejechał. Wściekłość, pragnienie zemsty wstrząsnęły wzgardzonym chłopcem; gdyby

---

<sup>70</sup> *lorgnon* (fr.) – rodzaj okularów z długą rączką do trzymania ich przed oczyma, używanych w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

miał w rękach panią de Bargeton, udusiłby ją; wcielał się w myślach w jakiegoś Fouquier-Tinville<sup>71</sup>, aby sycić się rozkoszą wysłania pani d'Espard na rusztowanie; byłby chciał poddać de Marsaya wyrafinowanym torturom wymyślonym przez dzikich. Ujrzał Canalisa na koniu: wykwintny, jak przystało najpięszczośliwшему z poetów, witał ukłonem najpiękniejsze damy.

„Boże! Złota za wszelką cenę! – mówił sobie Lucjan. – Złoto jest jedyną potęgą, przed którą ten świat pada na kolana. (Nie – wołało mu sumienie – ale sława, a sława – to praca! Praca! To było hasło Dawida). Mój Boże! Po co ja tu jestem? Ale doczekam się triumfu! Przejadę po tej alei w karocy ze strzelcem! Będę miał margrabiny d'Espard!”

Rzucił te słowa, spożywając dwufrankowy obiad u Hurbaina. Nazajutrz o dziewiątej udał się do Luizy z zamiarem wypomnienia jej tego barbarzyństwa; nie tylko pani de Bargeton nie było dlań w domu, ale nawet odźwierny nie pozwolił mu wejść na górę. Stał na ulicy na czatach aż do południa. O południu wyszedł Châtelet, spostrzegł przez ramię poetę i minął go. Lucjan, dotknięty do żywego, pośpieszył za rywalem; przyciśnięty do muru, Châtelet odwrócił się i ukłonił tylko przez grzeczność, z widocznym zamiarem minięcia go.

– Jeśli łaska – rzekł Lucjan – racz mi pan poświęcić sekundę

---

<sup>71</sup> *Fouquier-Tinville, Antoine Quentin* (1746–1795) – francuski prawnik i działacz polityczny, bezwzględny oskarżyciel publiczny Trybunału Rewolucyjnego. [przypis edytorski]

czasu, dwa słowa. Okazał mi pan przyjaźń, odwołuję się do niej, aby go prosić o nader drobną przysługę. Wychodzi pan od pani de Bargeton; niech mi pan wytłumaczy przyczynę mej niełaski u niej i u pani d'Espard.

– Panie Chardon – odparł Châtelet z fałszywą dobroduszością – czy wiesz, czemu te panie wyszły kiedyś z łoży?

– Nie – rzekł biedny poeta.

– Otóż pan de Rastignac podstawił panu, w samych początkach, nogę. Skoro go spytano o pana, młody dandys powiedział po prostu i bez ogródek, że pan się nazywa Chardon, a nie de Rubempré, że pańska matka czuwa przy połoźnicach, że ojciec był za życia aptekarzem w Houmeau, że pańska siostra, zresztą urocza panienska, cudownie prasuje koszule i ma wyjść za mąż za drukarza nazwiskiem Séchard. Oto świat! Wystarczy wypłynąć na widownię, a już zaczynają człowieka nicować. Pan de Marsay przyszedł do łoży pobawić się nieco pańskim kosztem i natychmiast te panie uciekły, uważając, iż pańskie towarzystwo jest kompromitujące. Niech pan nie próbuje dotrzeć do którejś z nich. Pani de Bargeton straciłaby wstęp do kuzynki, gdyby pana nadal przyjmowała. Masz pan talent, staraj się w przyszłości o odwet. Świat tobą gardzi, gardź światem. Zagrzeb się na poddaszu, stwórz arcydzieła, chwyć w ręce jaką bądź władzę, a ujrzysz świat u swoich nóg; oddasz mu wówczas z nawiązką rany, jakie ci zadał. Im więcej pani de Bargeton okazywała panu sympatii, tym więcej będzie czuła do pana niechęci. Tak się toczą

uczucia kobiet. Ale nie chodzi w tej chwili o to, aby odzyskać przyjaźń Anais; chodzi o to, aby nie mieć w niej wroga, i dam panu sposób. Pisywała do pana, odeślij jej wszystkie listy, ujmie ją ten postępek godny szlachcica i później, jeżeli będziesz jej potrzebował, nie będzie panu stała na zdradzie. Co do mnie, mam tak wysokie mniemanie o pańskiej przyszłości, że wszędzie pana broniłem; tak samo nadal, jeżeli mogę co zrobić dla pana, znajdziesz mnie zawsze gotowym do usług.

Lucjan był tak zmartwiały, tak blady, tak zmieniony, że nie oddał staremu fircykowi, odmłodzonemu przez Paryż, oschle grzecznego ukłonu, jakim Châtelet go uraczył. Wrócił do hotelu, gdzie zastał samego Stauba, przybyłego nie tyle dla miary, ile dla wywiedzenia się od gospodyni hotelu, jak przedstawia się finansowo ten nieznany klient. Lucjan przybył pocztą, pani de Bargeton odwiozła go w ubiegły czwartek z Vaudeville powozem. Relacje były dobre. Staub zamianował Lucjana „panem hrabią” i zwrócił mu uwagę na zręczność, z jaką uwydatnił jego śliczne kształty.

– Młody człowiek tak ubrany – rzekł – może iść prosto na przechadzkę do Tuileries i zaślubi bogatą Angielkę, nim miną dwa tygodnie.

Ten żarcik niemieckiego krawca, wytworność ubrań, delikatność materii, wdziek, jaki Lucjan podziwiał w samym sobie, oglądając się w lustrze, wszystkie te drobiazgi rozproszyły nieco jego smutek. Powiedział sobie od niechcienia, że Paryż jest stolicą trafu, i uwierzył na chwilę w traf. Czyż nie posiada

w rękopisie tomu poezji i wspaniałego romansu *Gwardzista Karola IX*? Nabrał wiary w los. Staub przyrzekł redyngocik i resztę kostiumu na jutro. Nazajutrz przybyli szewc, bieliźniarka i krawiec, wszyscy uzbrojeni w rachunki. Lucjan, nieświadom sposobu odprawiania ich z kwitkiem, Lucjan, jeszcze pod ciśnieniem obyczajów prowincji, wyrównał należność; ale po zapłaceniu z dwóch tysięcy zostało mu ledwie trzysta sześćdziesiąt franków: był w Paryżu tydzień! Mimo to ubrał się i wyszedł się przejść po Tuilériach. Tu czekał go odwet. Był tak dobrze ubrany, tak zręczny, tak piękny, iż wiele kobiet patrzyło nań z zainteresowaniem; parę nawet, uderzonych jego urodą, odwróciło się. Lucjan studiował chód i zachowanie młodych ludzi i przeszedł kurs dobrych manier, wciąż myśląc o swoich trzystu sześćdziesięciu frankach. Wieczorem, skoro się znalazł sam w pokoiku, przyszło mu na myśl wyjaśnić problem swego życia w hotelu Gaillard-Bois, gdzie jadał śniadanie złożone z najprostszych potraw, w mniemaniu, iż na tym oszczędza. Poprosił o rachunek, jak człowiek, który ma się wyprowadzić, i dowiedział się, że jego dług wynosi około stu franków. Nazajutrz pobiegł w „krajną łacińską”<sup>72</sup>, którą Dawid polecał mu dla jej taniości. Po długim szukaniu znalazł wreszcie przy ulicy Cluny, opodal Sorbony, nędzny hotelik, gdzie wynajęto mu pokój za możliwą cenę. Natychmiast zapłacił należność w

---

<sup>72</sup> *krajna łacińska* – Dzielnica Łacińska, uniwersytecka dzielnica Paryża, nosząca nazwę od języka łacińskiego, powszechnie używanego na uczelniach od średniowiecza aż do Rewolucji. [przypis edytorski]

hotelu i zainstalował się przy ulicy Cluny tego samego dnia. Przeprowadzenie kosztowało go tylko kurs dorożki.

Objąwszy w posiadanie swój biedny pokój, zgromadził wszystkie listy pani de Bargeton, położył ten pakiet na stole i nim się jął<sup>73</sup> pisania, zaczął rozpamiętywać ów fatalny tydzień. Nie powiedział sobie, iż on sam, pierwszy, nieopatrznie sprzeniewierzył się swej miłości, nie wiedząc, czym jego Luiza stanie się w Paryżu; nie widział swoich win, widział jedynie obecne położenie; zwałił je na panią de Bargeton: zamiast mu być przewodniczką, zgubiła go. Zakipiało w nim, duma uderzyła mu do głowy i w paroksyzmie gniewu skreślił następujący list:

Co powiedziałaaby Pani o kobiecie, której spodobało się biedne, nieśmiałe pachole, pełne szlachetnych wierzeń, nazywanych później, w dobie rozczarowań, złudzeniami, i która roztoczyła uroki zalotności, bogactwa umysłu i najpiękniejsze pozory macierzyńskiego uczucia, aby uwieść to niedoświadczone dziecko? Nie kosztują jej nic ani kuszące obietnice, ani domki z kart, którymi migoce mu przed oczyma; porywa go, zagarnia, łaje za brak zaufania, to znów karmi pochlebstwem. Kiedy dzieciak opuszcza rodzinę i idzie za nią ślepo, prowadzi go na brzeg olbrzymiego morza, z uśmiechem każe mu wsiąść w wąż czółenka i rzuca go samego, bez pomocy, w wir burz; następnie ze skały, na której została sama, zaczyna śmiać się i życzy mu szczęśliwej podróży. Ta kobieta to Ty, Pani; to dziecię to ja.

---

<sup>73</sup> *jąć się czegoś* (daw.) – zabrać się za coś; zająć się czymś. [przypis edytorski]

W rękach tego dziecka znajduje się pamiętka, która mogłaby zdradzić zbrodnie Twego dobrodziejstwa i fawory, jakimi je darzyłaś. Może przyszłoby Ci zarumienić się, spotkawszy to dziecię borykające się z falami, gdybyś pomyślała, żeś je trzymała na łonie. Kiedy przeczytasz ten list, pamiętka ta znajdzie się w Twoich rękach. Masz pełną swobodę zapomnienia o wszystkim. Po pięknych nadziejach, jakie palec Twój ukazał mi w niebie, spostrzegam rzeczywistość nędzy w błocie Paryża. Gdy Ty, świetna i ubóstwiana, będziesz kroczyć wśród wielkości tego świata, na którego próg mnie przywiodłaś, ja będę drżał od zimna na nędznym poddaszu, kędyś mnie rzuciła. Ale może pośród uczt i zabaw zdejmie Cię troska; może pomyślisz o dziecku, które wtrąciłaś w przepaść. Proszę Cię, Pani, myśl o nim bez wyrzutu! Z otchłani swej nędzy ofiaruje Ci ono jedyną rzecz, jaka mu została: przebaczenie. Tak, Pani, dzięki Tobie nie zostało mi nic. Nic! Czyż to nie jest materiał, z którego powstał świat? Geniusz winien naśladować Boga: chcę mieć jego wspaniałomyślność, nie wiedząc, czy posiadę jego siłę. Zadrzeć trzeba by Ci jedynie wówczas, gdybym szedł ku złemu: wówczas byłabyś współniczką moich błędów. Niestety! Żal mi Cię, iż straciłaś wszelkie prawo do udziału w sławie, do której będę dążył wiedziony przez pracę.

Napisawszy ten list, napuszony, ale pełen owej posepnej godności, w jaką lubi się stroić dwudziestoletni artysta, Lucjan przeniósł się myślą w krąg rodziny. Ujrzał znów ładne mieszkanie, które Dawid przystroił mu kosztem tyłu ofiar, objął

oczyma wizję spokojnych, skromnych, mieszczańskich radości, jakich tam kosztował. Cienie matki, siostry, Dawida zbliżyły się ku niemu, ujrzał na nowo łyzy, jakie wylewali w chwili jego wyjazdu, i zapłakał, był bowiem w Paryżu sam, bez przyjaciół, bez opiekunów.

W kilka dni potem Lucjan pisał do siostry:

Droga Ewo, siostry mają ten smutny przywilej, iż dzieląc egzystencję braci-artistów, poznają więcej zgryzot niż radości; toteż zaczynam się obawiać, iż stanę Ci się wielkim ciężarem. Czyż nie nadużyłem już dotąd Was wszystkich, którzyście się dla mnie poświęcili? To wspomnienie przeszłości, pełne tak słodkich uciech, dodaje mi mocy w obecnym osamotnieniu. Z szybkością orła wracającego do gniazda przebyłem odległość, jaka nas dzieli, aby się znaleźć w sferze prawdziwego przywiązania, doświadczwszy pierwszych nędz i zawodów paryskiego świata! Czy świece pryskały? Czy głównie osunęły się w kominku? Czy komuś z Was nie dzwoniło w uszach? Czy matka powiedziała może: „Lucjan myśli o nas”? Czy Dawid odpowiedział: „Zmaga się ze światem i z ludźmi”? Ewo moja, piszę ten list tylko do Ciebie jednej. Tobie jednej odważę się zawierzyć dobre i złe, które mnie spotka, rumieniąc się za jedno i za drugie, tutaj bowiem dobre jest tak rzadkie, jak rzadkim powinno być złe. Usłyszysz wiele rzeczy w niewielu słowach: pani de Bargeton powstydziała się mnie, zaparła, odprawiła, odtrąciła dziewiątego dnia po przybyciu. Widząc mnie, odwróciła głowę, a ja, aby podążyć za nią w świat, w

który mnie chciała wprowadzić, wydałem tysiąc siedemset franków z dwóch tysięcy przywiezionych z Angoulême i zdobytych z takim trudem! „Na co?” – powiesz. Moja droga siostrzyczko, Paryż to osobliwa czeluść: można tu dostać obiad za osiemnaście su<sup>74</sup>, najskromniejszy zaś posiłek w wykwintnej jadłodajni kosztuje pięćdziesiąt franków; są kamizelki i pantalony po cztery i po dwa franki; ale modni krawcy nie robią ich niżej stu franków. Płaci się grosz, aby przejść suchą nogą przez rynsztok, kiedy deszcz pada. Wreszcie najmniejszy kurs dorożką kosztuje trzydzieści dwa su. Z pierwotnego mieszkania w najpiękniejszej dzielnicy znalazłem się obecnie w hoteliku przy ulicy Cluny, jednej z najuboższych i najciemniejszych uliczek Paryża, wciśniętej między trzy kościoły i stare budynki Sorbony. Mam pokój na czwartym piętrze; mimo że brudny i nagi, płacę za niego piętnaście franków. Na śniadanie jem niedużą bułkę chleba za dwa su wraz z mlekiem za su, ale za to jem porządny obiad za dwadzieścia dwa su u niejakiego Flicoteaux na placu Sorbony. Do zimy moje wydatki, licząc wszystko, nie przekroczą sześćdziesięciu franków na miesiąc, przynajmniej mam nadzieję. W ten sposób moje dwieście czterdzieści franków wystarczą na pierwsze cztery miesiące. Do tego czasu sprzedam z pewnością *Gwardzistę Karola IX* albo *Stokrocie*. Nie troskajcie się więc o mnie. Jeśli terażniejszość jest zimna, naga, łań, przyszłość jest błękitna, bogata i wspaniała. Iluż wielkich ludzi przeszło tę nędzę, która podnieca

---

<sup>74</sup> su, właśc. sous (fr.) – w XIX w. pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

mnie zamiast przygnębiać? Plaut<sup>75</sup>, wielki komediopisarz, był młynarczykiem. Makiawel<sup>76</sup> pisał *Księcia* wieczorami, spędziwszy cały dzień wśród ciżby robotników. Wielki Cervantes<sup>77</sup> wreszcie, który stracił ramię pod Lepanto<sup>78</sup>, przyczyniając się do zwycięstwa w owym dniu, nazwany swego czasu przez pismaków „starym, podłym mańkutem”, musiał z braku wydawcy czekać dziesięć lat z drugą częścią swego wspaniałego *Don Kichota*. Dzisiaj nie jest tak źle. Strapienia i nędza mogą być losem tylko nieznanymi talentów, ale skoro raz pisarz zabłyśnie, rychło zdobywa bogactwo, i ja też będę bogaty. Żyję jedynie myślą, spędzam pół dnia w Bibliotece św. Genowefy, uzupełniając braki wykształcenia, bez czego nie zaszedłbym daleko. Czuję się dziś prawie szczęśliwy. W kilka dni nauczyłem się brać wesoło moje położenie. Oddaję się od rana pracy, którą kocham; utrzymanie mam zapewnione, wiele myślę, studiuje, czuję się silny od chwili, gdy wyrzekłem się świata, gdzie próżność moja cierpiała ustawiczne męki. Ludzie, którzy mają być chlubą swej epoki, powinni żyć

---

<sup>75</sup> *Plaut*, właśc. *Titus Maccius Plautus* (ok. 250–184 p.n.e.) – największy z komediopisarzy rzymskich, autor ponad stu sztuk, w większości przeróbek komedii greckich. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *Makiawel*, właśc. *Niccolò Machiavelli* (1469–1527) – florencki prawnik i teoretyk polityki; najbardziej znany z traktatu o skutecznym sprawowaniu władzy pt. *Książę*, w którym przekonywał, że dla dobra państwa obowiązkiem władcy jest skuteczność, nawet jeśli wymaga podejmowania działań nieetycznych. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *Cervantes*, *Miguel de* (1547–1616) – najśłynniejszy hiszpański pisarz, autor *Don Kichota*. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *bitwa pod Lepanto* (7 października 1571) – wielka bitwa morska, w której hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej rozgromiła flotę turecką. [przypis edytorski]

na uboczu. Czyż nie są niby ptaki leśne? Śpiewają, czarują naturą, a nikt nie powinien ich widzieć. Tak uczynię, jeśli w ogóle będzie mi dane urzeczywistnić me ambitne plany. Nie żałuję już pani de Bargeton. Kobieta, która postępuje w ten sposób, nie zasługuje na wspomnienie. Nie żałuję również, iż opuściłem Angoulême. Ta kobieta miała słuszność, że mnie rzuciła w Paryż, zostawiając mnie własnym siłom. Oto prawdziwy kraj pisarzy, myślicieli, poetów. Tu jedynie wyrasta sława, a widzę dokoła, jakie piękne plony wydaje ona dzisiaj. Tu tylko pisarz może znaleźć w muzeach i zbiorach żywe dzieła dawnych geniuszów, które rozgrzewają i podsycają wyobraźnię. Tu tylko bez przerwy otwarte olbrzymie biblioteki dostarczają duchowej wiadomości i pokarmu. Słowem, w Paryżu, w jego powietrzu, w najmniejszych szczegółach jest duch, którym się oddycha i którym przesiąkają twory literackie. Można się więcej nauczyć w pół godziny z rozmowy w kawiarni, w teatrze niż na prowincji w dziesięć lat. Tutaj naprawdę wszystko jest widowiskiem, porównaniem i nauką. Nadzwyczajna taniość, przeraźliwa drożyzna, oto Paryż, gdzie każda pszczoła znajdzie swą komórkę, gdzie każda dusza przyswaja sobie to, co jej odpowiada. Jeśli tedy cierpię w tej chwili, nie żałuję niczego. Przeciwnie, wspinała przyszłość roztacza się przede mną i cieszy moje serce, udręczone przez chwilę. Bądź zdrowa, droga siostrze! Nie spodziewaj się regularnych listów; jedną z właściwości Paryża jest, że w istocie nie wiadomo, w jaki sposób czas mija. Życie toczy się tu z przerażającą szybkością. Ściskam matkę, Dawida i Ciebie czulej niż kiedykolwiek.

Flicoteaux jest to nazwisko zapisane w pamięci wielu. Mało jest studentów, którzy by mieszkając w Dzielnicy Łacińskiej w pierwszych dwunastu latach Restauracji, nie poznali byli tej świątyni głodu i nędzy. Obiad z trzech dań kosztował osiemnaście su z karafeczką wina lub flaszką piwa, dwadzieścia dwa z butelką wina. Jeśli co przeszkodziło temu przyjacielowi młodzieży zrobić kolosalny majątek, to ten punkt programu wypisany wielkimi czcionkami na afiszach jego konkurentów: **Chleb darmo bez ograniczenia**. Wiele sław wykarmiło się na łonie ojca Flicoteaux. Zaiste, serce niejednego sławnego człowieka musi doznawać rozkoszy tysiąca niewymownych wspomnień na widok wystawy o małych szybkach, wychodzącej na plac Sorbony i na ulicę Neuve-de-Richelieu, którą to wystawę Flicoteaux II lub III uszanował aż do dni lipcowych<sup>79</sup>. Ciemne jej barwy, stary i czcigodny wygląd, wszystko to tchnęło wzgardą dla szarlatanizmu, jaki uprawiają prawie wszyscy dzisiejsi restauratorzy, racząc oczy kosztem żołądka. W miejsce stert wypchanej zwierzyny, w miejsce fantastycznych ryb, usprawiedliwiających koncept Arlekina: „Widziałem ładnego karpia, może mi się uda kupić go za tydzień”, w miejsce wątpliwych nowalii układanych w kuszące sterty ku rozkoszy kaprali i ich krajanek, uczciwy Flicoteaux wystawiał skromne drutowane salaterki, w których stopy gotowanych śliwek

---

<sup>79</sup> *do dni lipcowych* – tj. do rewolucji lipcowej w roku 1830, kiedy podczas kilkudniowego powstania udaremnilo próbę powrotu do absolutyzmu dokonaną przez Karola X. [przypis edytorski]

cieszyły oko konsumenta, pewnego, iż słowo deser, zbyt hojnie zwiastowane na innych szyldach, nie jest takim samym złudzeniem jak konstytucja Burbonów<sup>80</sup>. Sześćiofuntowe bułki chleba, pocięte na cztery kawałki, dodawały wiary w obietnicę chleba „bez ograniczenia”. Oto jakim przepychem zalecała się ta garkuchnia, którą, gdyby za jego czasów istniała, sławiłby Molier. Flicoteaux istnieje, będzie istniał tak długo, jak długo będą na świecie studenci. Je się tam, aby żyć, nie mniej, nie więcej; ale je się tak, jak się pracuje, z posępną lub radosną skrzętnością, wedle charakterów lub okoliczności. Słynny ten zakład obejmował wówczas dwie długie, ciasne i niskie sale, położone wobec siebie pod kątem prostym, wychodzące jedna na plac Sorbony, druga na ulicę Neuve-de-Richelieu; obie zastawione stołami pochodzącymi z jakiegoś klasztornego refektarza<sup>81</sup>, długość ich bowiem ma coś monastycznego. Każdy stały gość posiada serwetkę w numerowanej metalowej obrączce. Flicoteaux I zmieniał obrus jedynie w niedzielę; ale Flicoteaux II namyślił się podobno zmieniać go dwa razy w tygodniu, odkąd konkurencja zaczęła zagrażać dynastii. Ta restauracja to warsztat

---

<sup>80</sup> *konstytucja Burbonów* – ogłoszona przez Ludwika XVIII w 1814, gwarantowała szereg swobód obywatelskich, ale udział społeczeństwa w życiu politycznym był w niej iluzoryczny, sprowadzony do minimum, gdyż wysoki cenzus majątkowy i wieku sprawiał, że z 28 milionów Francuzów zaledwie sto tysięcy miało czynne prawo wyborcze, a piętnaście tysięcy bierne. Dekrety Karola X z 25 lipca 1830 likwidowały większość praw konstytucyjnych, co doprowadziło do wybuchu rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *refektarz* – jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

pełen narzędzi, a nie sala biesiadna, przeznaczona dla rozkoszy stołu; każdy opuszcza ją co rychlej. Wewnątrz panuje olbrzymi ruch. Chłopcy biegną bez wytchnienia, wszyscy zajęci, wszyscy potrzebni. Potrawy są mało urozmaicone. Ziemniaki są tam wieczne, mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii<sup>82</sup>, mogłoby ich braknąć wszędzie, u Flicoteaux znalazłyby się jeszcze. Pojawiają się od trzydziestu lat, w owym złotawym kolorze ulubionym przez Tycjana<sup>83</sup>, upstrzone zieleninką, i cieszą się przywilejem budzącym zazdrość w kobietach: jakie się je widziało w roku 1814, takie są i w roku 1840. Kotlety baranie, filety wołowe są na karcie owego zakładu tym, co bażanty, filety z jesiotra na karcie Véry'ego: potrawy nadzwyczajne, które zamawia się rano. Samica wołu króluje tu, nieletni zaś jej syn objawia się pod nader urozmaiconymi postaciami. Kiedy sielawy, makrele nawiedzają wybrzeża oceanu, roi się od nich u Flicoteaux. Wszystko tu jest w związku z kolejami rolnictwa i kaprysami pór roku. Można się tam dowiedzieć o rzeczach, o których nie mają pojęcia bogacze, próżniacy, ludzie obojętni na fazy natury. Student zamknięty w Dzielnicy

---

<sup>82</sup> *mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii* – na pocz. XIX w. ziemniaki stanowiły podstawowe wyżywienie uboższych warstw ludności w Irlandii; stało się to przyczyną wielkiej klęski głodu, kiedy w l. 1845–1849 zaraza niszczyła plony ziemniaków. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *Tycjan*, właśc. *Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) – włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej; na swoich obrazach często przedstawiał kobiety o długich, złotorudych włosach, stąd określenie: kolor tycjanowski. [przypis edytorski]

Łacińskiej posiada najdokładniejszą świadomość czasu: wie, kiedy obrodziła fasolka i groszek, kiedy Hale<sup>84</sup> zalane są kapustą i czy urodzaj na buraki zawiódł. Odwieczna potwarz, powtarzana w chwili, gdy Lucjan tam bywał, uporczywie przypisywała pojawienie się befszytków jakiejś śmiertelności wśród rasy końskiej. Mało restauracji paryskich przedstawia równie powabny wygląd. Tam jedynie spotkasz młodość i wiarę, tam jedynie nędzę dźwiganą z humorem, mimo że nie brak i twarzy żarliwych i poważnych, posępnych i niespokojnych. Stroje przeważnie zaniedbane. Toteż zwraca uwagę każdy bywalec, gdy przypadkowo zjawi się starannie ubrany. Wszyscy wiedzą, że ten nadzwyczajny strój oznacza schadzkę, teatr lub dystygowaną wizytę. Zawiaływały się tam, jak powiadają, częste przyjaźnie między studentami, którzy później dochodzili do sławy, jak się to pokaże w tym opowiadaniu. Bądź co bądź, z wyjątkiem kółek krajanów, skupionych na jednym końcu stołu, zwykle biesiadnicy zachowują powagę, która niełatwo się rozchmurza, może z przyczyny „katolicyzmu” wina<sup>85</sup>, nie sprzyjającego zbytnej rozlewności. Ci, którzy uczęszczali do Flicoteaux, potrafią sobie przypomnieć wiele ponurych i tajemniczych osobistości zawiniętych w mgły najmroźniejszej nędzy, które mogły tam jadać dwa lata i zniknąć tak, iż

---

<sup>84</sup> *Hale* (fr. *Les Halles*) – nazwa dawnego najpopularniejszego targowiska miejskiego w Paryżu, istniejącego do lat 70. XX w., a równocześnie dzielnicy biedoty, gdzie się znajdowały. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> „katolicyzm” wina – żartobliwe odniesienie do pot. określenia wina „chrzczonego”, tzn. rozcieńczonego wodą. [przypis edytorski]

żadne światło nie oświeciło tych błędnych ogników Paryża w oczach najciekawszych bywalców. Przyjaźnie naszkicowane u Flicoteaux pieczętowało się w sąsiednich kawiarniach przy płomyku ponczu<sup>86</sup> lub oparach filizaneczki czarnej kawy, zakropionej jakimś likworem<sup>87</sup>.

W pierwszych dniach instalacji w hotelu Cluny Lucjan, jak każdy neofita<sup>88</sup>, przestrzegał nieśmiałych i regularnych obyczajów. Po smutnej próbie życia na wielką stopę, które pochłonęło jego kapitały, rzucił się w pracę z owym pierwszym zapalem, tak szybko rozpraszającym się pod wpływem trudności i rozrywek, jakie Paryż nastęrcza wszystkim egzystencjom, najbytkowniejszym i najuboższym, a których pokonanie wymaga zacieklej energii prawdziwego talentu lub posępnej a wytrwałej ambicji. Lucjan wpadał do Flicoteaux około wpół do piątej, zauważywszy korzyści pierwszeństwa; potrawy były nieco bardziej urozmaicone; łatwiej było spotkać swoje ulubione dania. Jak wszystkie poetyczne natury, upodobał sobie jedno miejsce, a wybór jego świadczył o bystrej orientacji. Od pierwszego dnia zauważył koło bufetu stolik, przy którym fizjonomie, jak również chwywane w lot rozmowy zdradziły mu kolegów po piórze. Zresztą pewien rodzaj instynktu

---

<sup>86</sup> *poncz* – gorący napój alkoholowy, przyrządzany zwykle z wina lub rumu oraz z herbaty, z sokiem cytrynowym, cukrem i przyprawami korzennymi. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *likwor* – napitek. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *neofita* – osoba, która niedawno przyjęła jakąś wiarę; przen.: osoba, która zmieniła poglądy i od niedawna stała się zwolennikiem czegoś. [przypis edytorski]

szeptał mu, iż sadowiąc się blisko bufetu, łatwiej będzie mógł nawiązać dyplomatyczne stosunki z zarządem. Z biegiem czasu wytworzy się znajomość i w dobie finansowej niedoli zdoła z pewnością uzyskać niezbędny kredyt. Usiadł tedy w pobliżu bufetu, przy kwadratowym stoliku, gdzie spostrzegł jedynie dwa nakrycia, zdobne czystymi serwetkami bez obrączki, przeznaczone widocznie dla przygodnych gości. *Vis-à-vis*<sup>89</sup> Lucjana stanowił szczupły i blady młody człowiek, najwyraźniej równie biedny jak on. Piękna twarz, już przywiedła, świadczyła, iż zawiedzione nadzieje znużyły jego czoło i zostawiły w duszy bruzdy, w których nie wschodziło płodne ziarno. Te ślady poezji oraz jakaś nieprzeparta sympatia pchnęły Lucjana ku nieznanemu.

Ten młody człowiek, pierwszy, z którym poeta z Angoulême, po tygodniu drobnych grzeczności, półsłówek i uwag, mógł wreszcie nawiązać rozmowę, nazywał się Stefan Lousteau. Jak Lucjan, i on opuścił swą prowincję, miasteczko w Berry, przed dwoma laty. Jego wymowne gesty, błyszczące spojrzenie, niekiedy związane słowo zdradzały gorzką znajomość literackiego życia. Stefan przybył z Sancerre, z tragedią w kieszeni, znęcony tym, co wabiło Lucjana: sławą, władzą i pieniądzem. Ten młody człowiek, który zrazu przychodził na obiad kilka dni z rzędu, później pokazywał się jedynie od czasu do czasu. Po kilku dniach nieobecności, spotkawszy raz znowu swego poetę,

---

<sup>89</sup> *vis-à-vis* (fr.) – naprzeciw; tu: tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]

Lucjan miał nadzieję, iż ujrzy go nazajutrz; ale nazajutrz zajął miejsce jakiś nieznajomy. Kiedy dwaj młodzi ludzie widują się stale, ogień rozmowy utrzymuje się z dnia na dzień; ale te przerwy zmuszały Lucjana do łamania lodów za każdym razem na nowo i opóźniały zażyłość, która też w pierwszych tygodniach niewielkie uczyniła postępy. Zasięgnawszy języka u bufetowej, Lucjan dowiedział się, iż jego przyszły druh jest współpracownikiem jakiegoś dzienniczka, że pisuje recenzje z książek i sprawozdania ze sztuk grywanych w Ambigu-Comique, w Gaieté, w Panorama-Dramatique. Młody człowiek urósł w oczach Lucjana. Poeta postanowił wdać się z nim w poufniejszą rozmowę i uczynić wszystko, aby zyskać przyjaźń, tak cenną dla nowicjusza. Dziennikarz nie pojawił się przez dwa tygodnie. Lucjan nie wiedział jeszcze, że Stefan jadał u Flicoteaux jedynie wówczas, kiedy był goły, co dawało mu ten posępny i gorzki wyraz, ten chłód, któremu Lucjan na próżno przeciwstawiał pochlebne uśmiechy i uprzejme słówka. Bądź co bądź, znajomość ta wymagała dojrzałego zastanowienia, ile że ten pokątny dziennikarz zdawał się prowadzić życie kosztowne, przeplatane kieliszeczkami likieru, filiżankami kawy, wazkami ponczu, teatrem i kolacyjkami. Otóż przez pierwsze dni po zainstalowaniu się w tej dzielnicy Lucjan kulił się niby biedne dziecko oszołomione doświadczeniami paryskiego życia. Rozpatrzywszy się w cenach tych skromnych posiłków i zważywszy swą sakiewkę, Lucjan nie odważył się wejść w ślady Stefana, lękając się na nowo wpaść w

błędy, których jeszcze żałował. Ciągłe był pod uciskiem prowincjonalnych wierzeń; Ewa i Dawid, dwa opiekuńcze anioły, stawali mu przed oczami przy najmniejszej złej myśli, przypominali położone w nim nadzieje, szczęście, jakie był winien starej matce, wszystkie obietnice jego talentu. Spędzał ranki w Bibliotece św. Genowefy, studiując historię. Pierwsze studia uświadomiły mu straszliwe błędy w *Gwardziście Karola IX*. Po godzinach bibliotecznych wracał do zimnego i wilgotnego pokoiku, aby poprawiać swoje dzieło, przerabiać, wyrzucać całe rozdziały. Zjadłszy obiad u Flicoteaux, szedł do Pasażu Handlowego, czytał w publicznej czytelni Blosse'a płody współczesnej literatury, dzienniki, przeglądy, poezje, aby się obznajomić ze współczesnym ruchem umysłowym. Około północy zdążył do swego nędznego hotelu, nie zużywszy drzewa ani światła. Lektury te tak ogromnie przeobraziły jego pojęcia, że wziął na nowo do ręki zbiór sonetów o kwiatach, swoje drogie *Stokrocie*, i przerobił je tak gruntownie, że ani sto wierszy nie pozostało w dawnej postaci. Tak tedy z początku Lucjan wiódł niewinne i czyste życie biednych chłopców z prowincji, dla których Flicoteaux jest zbytkiem w porównaniu z codziennym trybem rodzinnego domu. Biedacy ci przechadzają się dla rozrywki po alejach Luksemburgu<sup>90</sup>, przyglądając się pięknym kobietom spod oka i z sercem nabrzmiałym krwią; nie wychodzą poza Dzielnicę Łacińską i oddają się święcie

---

<sup>90</sup> *Luksemburg* – tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxembourg. [przypis edytorski]

pracy, myśląc o przyszłości. Ale Lucjan, urodzony poeta, oblegany niezmiernymi pragnieniami, uczuł się niebawem bezsilny wobec pokus teatru. Komedia Francuska, Vaudeville, Variétés, Opera Komiczna, dokąd chodził na parter, wydarły mu jakie sześćdziesiąt franków. Któryż student mógłby się oprzeć szczęściu oglądania Talmy<sup>91</sup> w jego wielkich rolach? Teatr, ta pierwsza miłość poetycznych dusz, oczarował Lucjana. Aktorzy i aktorki imponowali mu bez granic; nie wyobrażał sobie możliwości przekroczenia rampy i oglądania ich z bliska. Ci twórcy jego uciech byli dlań cudownymi istotami; toć dzienniki poświęcały im tyleż miejsca, co najważniejszym sprawom państwowym. Być autorem dramatycznym, być granym, cóż za marzenie, które paru odważnych, jak Kazimierz Delavigne<sup>92</sup>, zdołało urzeczywistnić! Te płodne myśli, te chwile wiary w siebie, po których następowała rozpacz, pobudzały Lucjana i utrzymywały go na świętej drodze pracy i oszczędności mimo głuchych szemrań niejednego frenetycznego pragnienia. Przez heroizm rozsądku zabronił sobie wstępu do Palais-Royal, owego miejsca zguby, gdzie w ciągu jednego dnia wydał pięćdziesiąt franków u Véry'ego, a blisko pięćset na stroje. Toteż kiedy uległ pokusie oglądania Fleury'ego<sup>93</sup>, Taimy, obu Baptistów<sup>94</sup>

---

<sup>91</sup> *Talma, François-Joseph* (1763–1826) – najślynniejszy aktor francuski swojej epoki, znany z ról w tragediach Woltera, Szekspira, Corneille'a i Racine'a. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *Delavigne, Casimir* (1793–1843) – francuski poeta i dramaturg, członek Akademii Francuskiej (1825). [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *Fleury, Abraham-Joseph Bénard* (1750–1822) – aktor Comédie Française,

lub Michota<sup>95</sup>, nie zapuszczał się dalej niż w ciemną galerię, gdzie trzeba było stać w długim szeregu od wpół do szóstej i gdzie spóźnieni musieli kupować za pół franka miejsce w ogonku do kasy. Często po dwugodzinnym wystawaniu słowa: „Nie ma biletów!” rozlegały się w uchu niejednego zawiedzionego studenta. Po przedstawieniu Lucjan wracał ze spuszczoneymi oczyma, nie patrząc na ulicę wybrukowaną o tej godzinie żywymi pokusami. Może zdarzała mu się tu i ówdzie jakaś przygoda niezmiernie prosta, ale zajmująca wiele miejsca w młodej i lękliwej wyobraźni. Przerażony ubytkiem kapitału, jednego dnia, obliczywszy swój skarbczyk, Lucjan oblał się zimnym potem. Konieczność znalezienia jakiegoś księgarza i szukania płatnej pracy stała się nagląca. Młody dziennikarz, którego mianował we własnej wyobraźni swoim przyjacielem, nie pokazywał się w jadłodajni. Lucjan czekał przypadku, i czekał na próżno. W Paryżu przypadek istnieje jedynie dla ludzi bardzo ruchliwych; ilość stosunków powiększa szanse powodzenia: przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów<sup>96</sup>. Zachowawszy jeszcze przezorność mieszkańców

---

wybitny komik. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *obu* *Baptystów* – Nicolas Anselme Baptiste, zw. Baptystą Starszym (1761–1835) oraz jego brat Paul Eustache Anselme Baptiste (1765–1839), zw. Baptystą Młodszy, francuscy aktorzy komiczni, występujący w Comédie-Française. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *Michot*, właśc. *Antoine Michaut* (1765–1826) – francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *Przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów* – znane powiedzenie Napoleona o Bogu, że „jest zawsze po stronie silniejszych batalionów”. [przypis

provincji, Lucjan nie chciał czekać chwili, gdy mu zostanie tylko kilka talarów: postanowił zmierzyć się z księgarzami.

W chłodny wrześnieowy poranek, z dwoma rękopisami pod pachą, puścił się ulicą la Harpe, dotarł do wybrzeża des Augustins<sup>97</sup>, przeszedł kilkadziesiąt kroków, spoglądając kolejno na Sekwanę i na sklepy księgarzy, jak gdyby dobry geniusz radził mu się rzucić raczej w wodę niż w literaturę. Po okresie piekących wahań, po baczным przeglądzie więcej lub mniej łagodnych, wesołych, życzliwych, chmurnych lub smutnych twarzy widzianych przez szyby lub na progu, zauważył dom, przed którym chłopcy sklepowi w pośpiechu pakowali książki. Widocznie przygotowywano je do ekspedycji, mury bowiem pokryte były afiszami:

WYSZŁY Z DRUKU

*Samotnik*

przez wicehrabiego d'Arlincourt<sup>98</sup>, wydanie trzecie.

*Leonidas*

---

tłumacza]

<sup>97</sup> *wybrzeże des Augustins* – ośrodek księgarski położony na lewym brzegu Sekwany.  
[przypis edytorski]

<sup>98</sup> *Prévot Charles-Victor, wicehrabia d'Arlincourt* (1788–1856) – francuski powieściopisarz, popularny w l. 20. XIX w.; autor m.in. pseudohistorycznej powieści *Le Solitaire* (*Samotnik*, 1821), z akcją osadzoną w XV w., mającej kilkanaście wydań w ciągu kilku miesięcy, liczne tłumaczenia, kilka adaptacji operowych, wiele adaptacji teatralnych, parodii itp. [przypis edytorski]

przez Wiktora Ducange<sup>99</sup>, 5 tomów in 12<sup>o100</sup>,  
na wytwornym papierze. Cena 12 fr.

*Wnioski moralne*  
przez Kératry<sup>101</sup>

– Szczęśliwcy! – wykrzyknął Lucjan.

Afisz, nowa i oryginalna kreacja słynnego *Ladvocata*<sup>102</sup>, zakwitł wówczas pierwszy raz na murach. Niebawem naśladowcy tego nowego sposobu ogłaszania się, będącego źródłem jednego z dochodów publicznych, zalali cały Paryż. Wreszcie, z sercem wezbranym krwią i niepokojem, Lucjan, niegdyś tak wielki w Angoulême, a tak mały w Paryżu, przesunął się pod domami i zebrał odwagę, aby wejść do sklepu zapchanego pomocnikami, klientami, księgarzami... „I może autorami!” – pomyślał Lucjan.

– Chciałbym mówić z panem Vidal albo panem Porchon – rzekł do subiekta<sup>103</sup>.

Wyczytał na szyldzie wielkimi literami:

---

<sup>99</sup> *Ducange, Victor Henri Joseph Brahain* (1783–1833) – francuski powieściopisarz i dramaturg; autor m.in. powieści *Léonide, ou la Vieille de Suresnes* (*Leonid czyli stara z Surenny*, 1823). [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *in 12° a. in duodecimo* – tj. w małym formacie, w którym ze złożenia pojedynczego arkusza drukarskiego powstaje dwanaście kart. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *Kératry, Auguste Hilarion de* (1769–1859) – francuski publicysta i działacz polityczny; autor m.in. dzieła *Inductions morales et physiologiques* (*Wnioski moralne i fizjologiczne*, 1817). [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *Ladvoat, Pierre-François* (1791–1854) – paryski księgarz i wydawca. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *subiekt* (daw.) – sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

## VIDAL I PORCHON

Księgarnia komisowa na Francję i zagranicę

– Zajęci – odparł subiekt.

– Zaczekam.

Zostawiono poetę w sklepie, gdzie przyglądał się paczkom; spędził tak dwie godziny, patrząc na tytuły, otwierając książki, czytając tu i ówdzie jaką stronicę. Wreszcie oparł się o małą szybkę ozdobioną zielonymi firaneczkami, za którą przeczuwał, iż kryje się Vidal albo Porchon, i usłyszał następującą rozmowę:

– Bierze pan pięćset egzemplarzy? Dam po pięć franków, plus trzynasty gratis.

– To by wyniosło po ile?

– Szesnaście su mniej.

– Cztery franki cztery su – rzekł Vidal lub Porchon do oferującego książki.

– Tak – odparł sprzedający.

– Na rachunek? – spytał kupiec.

– Stary kawalarz! I namyślisz się pan zapłacić za półtora roku, weksłami z rocznym terminem?

– Nie, płatne zaraz – odparł Vidal lub Porchon.

– Jaki termin? Dziewięć miesięcy? – spytał księgarz lub autor, który widocznie ofiarowywał książkę.

– Nie, drogi panie, rok – odparł jeden z księgarzy komisowych.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Zarzynasz mnie pan – rzekł nieznajomy.

– Ale czyż my pozbędziemy w ciągu roku pięćset *Leonidasów*? – odparł księgarz komisowy wydawcy Wiktora Ducange. – Gdyby książki szły tak, jak pragną wydawcy, bylibyśmy milionerami, drogi panie; ale idą tak, jak sobie życzy publiczność. Romanse Waltera Scotta<sup>104</sup> można mieć po osiemnaście su za tom, trzy franki dwanaście su egzemplarz, i pan chcesz, abym sprzedawał pańską książkę drożej? Jeżeli pan żąda, abym pchał ten romans, dajcie mi dobre warunki. – Vidal!

Otyły człowiek opuścił kasę i zbliżył się z piórem zatkniętym za ucho.

– Ile pozbyłeś Ducange'a w ostatniej podróży? – spytał Porchon.

– Dwustu *Staruszków z Calais*<sup>105</sup>; ale żeby ich wpakować, trzeba było zarznąć dwie inne książki, na których nie dawano nam takiego opustu i które dzięki temu poszły na marynatę.

Później Lucjan dowiedział się, że „marynatą” nazywają księgarze dzieła, które pleśnieją w skrzyniach, w głębokiej samotności magazynów.

– Wiesz zresztą – ciągnął Vidal – że Picard<sup>106</sup> gotuje nowe powieści. Obiecują nam dwadzieścia procent od zwykłej ceny księgarskiej, aby wziąć szturmem rynek.

---

<sup>104</sup> *Scott, Walter* (1771–1832) – szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *Staruszek z Calais* – dwutomowa powieść Victora Ducange pt. *Agathe, ou le Petit Vieillard de Calais* z 1819. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *Picard, Louis Benoît* (1769–1828) – francuski dramaturg, aktor, powieściopisarz. [przypis edytorski]

– Więc dobrze, na rok – odparł żałośnie wydawca, zmiażdżony ostatnią poufną uwagą Vidala do Porchona.

– Zatem porozumieliśmy się? – spytał Porchon nieznajomego.

– Tak.

Księgarz wyszedł. Lucjan usłyszał, jak Porchon mówił do Vidala:

– Mamy zamówionych trzysta egzemplarzy, przeciągniemy mu termin, sprzedamy *Leonidasy* po równych pięć franków, z płatnością półroczną, i...

– I – rzekł Vidal – zgarniemy tysiąc pięćset franków na czysto.

– Och! Wiedziałem dobrze, że koło niego ciasno.

– Zarzyna się! Płaci Ducange'owi cztery tysiące za dwa tysiące egzemplarzy.

Lucjan zatrzymał Vidala, zagradzając wyjście z klatki.

– Panowie – rzekł – mam zaszczyt przedstawić się...

Księgarze zaledwie skinęli głową.

– Jestem autorem romansu historycznego w rodzaju Waltera Scotta, pod tytułem *Gwardzista Karola Dziewiątego*, i ofiaruję panom nabycie dzieła.

Porchon objął Lucjana chłodnym spojrzeniem, kładąc równocześnie pióro na pulpicie. Co do Vidala, ten spojrzał brutalnie na autora i odparł:

– Panie łaskawy, nie jesteśmy księgarnią wydawniczą, ale komisową. Jeżeli wydajemy coś na nasz rachunek, robimy jedynie w nazwiskach gotowych. Kupujemy zresztą tylko książki poważne, historie, kompendia...

– Ale moja książka jest bardzo poważna: chodzi o odmalowanie w prawdziwym świetle walki katolików, oświadczających się za władzę absolutną, i protestantów, którzy chcieli stworzyć republikę...

– Panie Vidal! – krzyknął subiekt.

Vidal wymknął się.

– Nie wątpię, iż pański utwór może być arcydziełem – rzekł Porchon, czyniąc gest dość niegrzeczny – ale my się zajmujemy jedynie książkami gotowymi. Idź pan do tych, którzy kupują rękopisy: stary Doguereau, ulica du Coq, koło Luwru: to jeden z tych, którzy robią w powieści. Gdyby się pan zjawił wcześniej, był tu właśnie Pollet, konkurent starego Doguereau i księgarzy z Galerii Drewnianej.

– Mam także zbiór poezji...

– Panie Porchon! – rozległ się głos.

– Poezji! – zakrzyknął Porchon w gniewie. – Za kogo mnie pan bierze? – dodał, śmiejąc mu się w nos i znikając w czeluściach kantoru.

Lucjan, oblegany tysiącem refleksji, przebył Nowy Most. Dostępne dlań urywki handlowej gwary pozwoliły mu odgadnąć, że dla tych księgarzy książki były tym, czym czapki włóczkowe dla trykociarzy: towarem, który się drogo sprzedaje, tanio nabywa.

– Omyliłem się – powiedział sobie, uderzony brutalną i kramarską postacią, pod jaką objawiła mu się literatura.

Spostrzegł przy ulicy du Coq skromny sklepik, koło którego

już przechodził, a nad którym żółtymi literami na zielonym tle namalowane były słowa:

## DOGUEREAU – KSIĘGARZ

Przypomniał sobie, iż widział tę firmę na okładce romansów czytanych u Blossse'a. Wszedł nie bez owego wewnętrznego drżenia, jakie u wszystkich ludzi obdarzonych wyobraźnią wywołuje pewność walki. Ujrzał w sklepie dziwnego starca, jedną z najoryginalniejszych postaci przemysłu księgarskiego za Cesarstwa. Doguereau miał na sobie czarny frak o wielkich kwadratowych połach, gdy moda ścinała wówczas frak spiczasto. Na kamizelce z pospolitej materii w różnokolorowe kraty zwiisał od kieszonki stalowy łańcuszek i mosiężny kluczyk, tańcząc po obszernych czarnych pludrach. Zegarek musiał być grubości cebuli. Kostium ten uzupełniały grube pończochy stalowego koloru oraz trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Starzec miał gołą głowę, strojną szpakowatymi włosami w dość poetycznym nieładzie. Frak, pludry<sup>107</sup> i trzewiki dawały staremu Doguereau, jak go nazwał Porchon, coś z profesora literatury, kamizelka zaś, zegarek i pończochy coś z kupca. Fizjonomia nie przeczyła temu osobliwemu skojarzeniu: wyraz miał profesorski, dogmatyczny, pooraną bruzdami twarz profesora retoryki<sup>108</sup>, żywe zaś oczy, podejrzliwe usta, nieokreślony niepokój księgarza.

---

<sup>107</sup> *pludry* – spodnie; szczególnie: sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *retoryka* – umiejętność wysławiania się i przemawiania; także: nazwa ostatniej klasy w liceach francuskich. [przypis edytorski]

– Pan Doguereau? – rzekł Lucjan.

– Tak, panie.

– Jestem autorem romansu – rzekł Lucjan.

– Bardzo pan młody – rzekł księgarz.

– Ależ panie, wiek mój nie ma tu nic do rzeczy.

– Słusznie – rzekł stary księgarz, biorąc rękopis. – Tam do licha! *Gwardzista Karola Dziewiątego*, dobry tytuł. No, młodzieńcze, opowiedz mi w dwóch słowach treść.

– Jest to dzieło historyczne w rodzaju Waltera Scotta. Walka między protestantami a katolikami ujęta jest jako ścieranie się dwóch form rządu, w którym tron jest poważnie zagrożony. Ja wzięłam stronę katolików.

– Ba, młodzieńcze, to myśl. Więc dobrze, przeczytam rękopis, przyrzekam. Wolałbym romans w rodzaju pani Radcliffe<sup>109</sup>; ale jeśli umiesz pracować, jeśli masz trochę stylu, poglądów, myśli i umiejętności podania, niczego więcej nie pragnę, jak być panu użytecznym. Czegóż nam trzeba?... Dobrych rękopisów.

– Kiedy będę mógł wstąpić?

– Jadę dziś wieczór na wieś, wrócę pojutrze, przeczytam pańską powieść i jeśli mi się nada, porozumiemy się tego samego dnia.

Lucjan, uwiedziony tą dobroduszością, wpadł na fatalną myśl wydobycia rękopisu *Stokroci*.

---

<sup>109</sup> *Radcliffe, Ann* (1764–1823) – angielska pisarka preromantyczna; zasłynęła jako autorka romansów sentymentalnych oraz powieści gotyckich, które wywarły znaczny wpływ na twórców romantycznych, wprowadzając do literatury estetykę horroru. [przypis edytorski]

– Panie, mam także zbiorek wierszy...

– A, pan poeta! Nie chcę już pańskiej powieści – rzekł stary, oddając rękopis. – Wierszoroby kiepsko się sprawiają, kiedy się wezmą do prozy. W prozie nie ma kwiatków, trzeba koniecznie coś powiedzieć.

– Ale, panie, Walter Scott także pisał wiersze...

– To prawda – rzekł Doguereau, który złagodniał, odgadł trudne położenie poety i zatrzymał rękopis. – Gdzie pan mieszka? Zajdę do pana.

Lucjan podał adres, nie podejrzewając ukrytej myśli starca; nie odgadł w nim księgarza dawnej szkoły, z czasu kiedy księgarze pragnęliby trzymać na strychu i pod kluczem Woltera<sup>110</sup> i Monteskiusza<sup>111</sup> umierających z głodu.

– Wracam właśnie przez Dzielnicę Łacińską – rzekł stary, przeczytawszy adres.

„Zacny człowiek! – pomyślał Lucjan, żegnając księgarza. – Spotkałem tedy przyjaciela młodzieży, człowieka, który rozumie się na czymś. To mi człowiek! Mówiłem Dawidowi, talent łatwo wybije się w Paryżu”.

Wrócił lekki i szczęśliwy, marzył o sławie. Nie myśląc już o złowrogich słowach, jakie obiły się o jego uszy w kantorze Vidala i Porchona, pieścił w myśli przynajmniej tysiąc dwieście

---

<sup>110</sup> Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) – czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> Monteskiusz, właśc. Charles Louis Montesquieu (1689–1755) – francuski filozof i pisarz, teoretyk prawa. [przypis edytorski]

franków. Tysiąc dwieście franków to rok pobytu w Paryżu, rok, przez który przygotowuje nowe dzieła. Ileż projektów zbudowanych na tej nadziei! Ileż słodkich marzeń na widok perspektywy życia wspartego na pracy! Wynajął (w myśli) mieszkanie, urządził się, niewiele brakło, aby poczynił jakieś większe zakupy. Ledwie zdołał oszukać swą niecierpliwość, zakopując się gorączkowo w książki w czytelni. W dwa dni później Doguereau, zdziwiony bogactwem stylu, zachwycony przesadą charakterów, dopuszczalną dzięki odległej epoce, uderzony rozmachem, z jakim młody autor kreśli zawsze pierwszy projekt – zacny **ojciec** Doguereau nie był wybredny! – przybył do hotelu, gdzie mieszkał jego przyszły Walter Skocik. Gotów był zapłacić tysiąc franków za zupełną własność *Gwardzisty Karola IX* i związać Lucjana umową na szereg utworów. Widząc hotel, stary lis rozmyślił się.

„Młody człowiek, który tak mieszka, musi mieć upodobania skromne, lubi naukę, pracę; dam mu tylko osiemset”.

Gospodyni, zapytana o pana Lucjana de Rubempré, odparła:  
– Na czwartym.

Księgarz zadarł nosa i ujrzał nad czwartym piętrem tylko niebo.

„Ten młody człowiek – pomyślał – hm! ładny chłopiec, nawet bardzo piękny; gdyby zarabiał zbyt wiele, zaczęłby się lampartować<sup>112</sup>, nie pracowałby. We wspólnym interesie ofiaruję

---

<sup>112</sup> *lampartować się* (daw.) – prowadzić hulaszczce, próżniacze, niemoralne życie.  
[przypis edytorski]

mu sześcset; ale gotówką, bez akceptów<sup>113</sup>”.

Wdrapał się na schody, zapukał trzy razy do Lucjana, który podbiegł otworzyć. Pokój przedstawiał obraz rozpaczliwej nagości. Na stole stał garnuszek mleka i dwugroszowa bułka. Ta nędza geniusza uderzyła starego Doguereau.

„Niech zachowa – pomyślał – te proste obyczaje, wstrzeźliwość, skromność potrzeb”. – Miło mi pana widzieć – rzekł do Lucjana. – Oto, drogi panie, jak żył Jan Jakub, z którym pan posiadasz niejedno podobieństwo. W takich właśnie mieszkaniach błyszczą ogień geniuszu i tworzą się tęgą dzieła. Oto jak powinni by żyć ludzie pióra – miast oddawać się hulance po kawiarniach, restauracjach, tracić swój czas, talent i nasze pieniądze.

Usiadł.

– Młodzieńcze, romans jest niezgorszy. Byłem profesorem retoryki, znam historię Francji, są tam wyborne rzeczy. Słowem, masz przyszłość.

– Och, panie!

– Tak, powiadam panu, będziemy mogli robić interesy. Kupuję pański romans...

Serce Lucjana rozpląnęło się, drżał z rozkoszy, miał wejść w świat literacki, miał być wreszcie drukowany!

– Kupuję go za czterysta franków – rzekł słodko Doguereau z

---

<sup>113</sup> *akcept* – tu: wymagalność po złożeniu akceptu, tj. złożeniu podpisu na wekslu przez osobę zobowiązującą się w ten sposób do zapłaty wskazanej na wekslu kwoty we wskazanym terminie. [przypis edytorski]

miną mającą oznajmiać wysiłek wspaniałomyślności.

– Tom? – rzekł Lucjan.

– Nie, powieść – rzekł Doguereau, niezaskoczony zdziwieniem Lucjana. – Ale – dodał – płacę gotówką. Zobowiąziesz się dostarczać mi dwa takie rocznie przez sześć lat. Jeżeli pierwszy wyczerpie się w pół roku, zapłacę następne po sześćset. Tak więc, przy dwóch powieściach na rok, będziesz miał sto franków miesięcznie, zapewnione życie, będziesz szczęśliwy. Mam autorów, którym płacę tylko po trzysta. Daję dwieście franków za tłumaczenie z angielskiego. Dawniej była to cena wręcz niesłychana.

– Nie porozumiemy się, proszę pana o rękopis – rzekł Lucjan, zmrożony.

– Służę – rzekł stary księgarz. – Nie rozumie się pan na interesach. Wydając pierwszy romans młodego autora, księgarz musi ryzykować tysiąc sześćset franków za druk i papier. Łatwiej napisać romans niż znaleźć podobną kwotę. Mam u siebie sto rękopisów, a nie mam stu sześćdziesięciu tysięcy w kasie. Niestety! Nie uciulałem tyle przez dwadzieścia lat, jak jestem księgarzem. Nie robi się majątku na wydawaniu powieści! Vidal i Porchon biorą je na warunkach, które stają się z każdym dniem uciążliwsze. Pan ryzykujesz tylko czas, a ja muszę wyłożyć dwa tysiące franków. Jeśli nas czeka zawód, gdyż *habent sua fata libelli*<sup>14</sup>, tracę dwa tysiące; co do pana, wystarczy ci wypalić odę przeciw głupocie publiczności. Rozważywszy

---

<sup>14</sup> *habent sua fata libelli* (łac.) – książki mają swoje losy. [przypis edytorski]

sobie to, co mam zaszczyt powiedzieć, wrócisz pan do mnie. Wrócisz – powtórzył księgarz z mocą, w odpowiedzi na dumny gest Lucjana. – Nie tylko nie znajdziesz księgarza, który by zaryzykował dwa tysiące dla nieznanego młodzieńca, ale i ani subiekta, który by zadał sobie trud odczytania pańskich gryzmołów. Ja, który je odczytałem, mogę panu podkreślić sporo błędów językowych... Piszesz na przykład „oczekiwać na kogoś”, gdy mówi się „oczekiwać kogoś”, a „czekać na kogoś”.

Lucjan stał w milczeniu jak winowajca.

– Kiedy się zobaczymy znowu, stracisz pan sto franków – dodał – wówczas dam już tylko trzysta.

Podniósł się, uklonił, ale na progu rzekł jeszcze:

– Gdybyś pan nie miał talentu, przyszłości, gdybym się nie interesował pracowitymi młodymi ludźmi, nie ofiarowałbym ci tak pięknych warunków. Sto franków na miesiąc! Zastanów się. Ostatecznie romans w szufladzie to nie to, co koń w stajni, nie zjada chleba. Co prawda, też i nie daje!

Lucjan wziął rękopis i rzucił go o ziemię, wołając:

– Wolę raczej spalić!

– Et, poeta! – rzekł stary.

Lucjan pochłonął bułkę, wypił duszkiem mleko i zeszedł na dół. Pokój nie był dość obszerny, musiał się kręcić w kółko niby lew w klatce w Ogrodzie Botanicznym. W Bibliotece św. Genowefy, dokąd zamierzał się udać, Lucjan widywał zawsze w tym samym kącie młodego człowieka lat około dwudziestu pięciu, pracującego z ową niezłomną wytrwałością, której nic

nie jest w stanie oderwać ani rozproszyć, a po której poznaje się prawdziwych bojowników literatury. Młody człowiek bywał tam zapewne od dłuższego czasu, urzędnicy i nawet sam bibliotekarz mieli dla niego względy; wolno mu było brać książki do domu. Pracowity nieznajomy, w którym Lucjan poznał brata po nędzy i nadziei, zabierał je skrętnie i odnosił nazajutrz. Mały, szczupły i blady ten pracownik ukrywał piękne czoło pod gęstą, czarną, dość lichy utrzymaną czupryną, miał ładne ręce i uderzał pewnym podobieństwem do Bonapartego na rycinie Roberta Lefèvre<sup>115</sup>. Rycina ta to cały poemat pełnej żaru melancholii, hamowanej ambicji, ukrytej gorączki czynu. Przyjrzyjcie się dobrze: ujrzycie geniusz, powściągliwość, przebiegłość i wielkość. Oczy iskrzą się sprytem jak oczy kobiety. Spojrzenie chciwe przestrzeni, żądne przeszkód i walki. Gdyby nawet nie widniało u dołu nazwisko Bonapartego, i tak patrzylibyście nań równie długo. Młody człowiek, który wcielał tę rycinę, nosił zazwyczaj spodnie wpuszczone w grube trzewiki, surdut z pospolitego sukna, czarny krawat, sroką kamizelkę zapiętą pod szyję i tani kapelusz. Wzgarda jego dla wszelkiego zbytku była widoczna. Ten tajemniczy nieznajomy, naznaczony piętnem, jakie Duch wyciska na czole swych niewolników, zjawiał się u Flicoteaux najregularniej ze stałych gości: jadł, aby żyć, nie zwracając uwagi na potrawy, zbyt już widać do nich przyzwyczajony, pił wodę. Czy to w bibliotece, czy u Flicoteaux miał we wszystkim jakąś godność, która płynęła z

---

<sup>115</sup> *Lefèvre, Robert* (1755–1830) – francuski malarz-portrecista. [przypis edytorski]

pewnością ze świadomości życia zaprzątniętego czymś wielkim i czyniła go niedostępnym. Spojrzenie było nabrzmiałe myślami. Medytacja zamieszkiwała piękne, szlachetnie narysowane czoło. Oczy, czarne i żywe, bystre i szybkie, świadczyły o nawyku zgłębiania rzeczy do dna. Ruchy miał proste i poważne. Lucjan czuł wobec niego mimowolny szacunek. Parokroć już u drzwi biblioteki albo restauracji wymienili spojrzenia, jak gdyby chcąc przemówić, ale żaden nie śmiał. Milczący młody człowiek zajmował miejsce w głębi sali, blisko okna wychodzącego na plac Sorbony, Lucjan nie mógł się tedy zbliżyć, mimo iż czuł bezwiedny pociąg do tego młodego pracownika, zdradzającego nieomylnie oznaki wyższości. Obaj, jak to sobie wyznali później, należeli do owych dziewiczych i nieśmiałych natur, wydanych na pastwę wszystkich lęków i wzruszeń właściwych samotnikom. Gdyby nie nagłe spotkanie w chwili nieszczęścia, które dotknęło Lucjana, może nie zetknęliby się nigdy. Wchodząc w ulicę des Grès, Lucjan spostrzegł młodego nieznajomego, który wracał ze św. Genowefy.

– Biblioteka zamknięta, nie wiem, z jakiej przyczyny – rzekł do Lucjana.

W tej chwili Lucjan miał łzy w oczach; podziękował nieznajomemu gestem wymowniejszym niż wszystkie przemówienia, jednym z tych, które między młodymi od razu otwierają serca. Obaj szli ulicą des Grès w stronę ulicy La Harpe.

– Pójdę w takim razie się przejść po Luksemburgu – rzekł Lucjan. – Kiedy się raz wyszło z domu, trudno wrócić pracować.

– Nie ma już potrzebnego skupienia – zauważył nieznajomy.

– Ale pan jakiś zmartwiony?

– Zdarzyła mi się szczególna przygoda – odparł Lucjan.

Opowiedział swoją wizytę w księgarni, potem u starego Doguereau i jego propozycje; wymienił swoje nazwisko i wspomniał zwięźle o swym położeniu. Od miesiąca wydał sześćdziesiąt franków na życie, trzydzieści na hotel, dwadzieścia na teatr, dziesięć na czytelnię, razem sto dwadzieścia franków, zostało mu już tylko sto dwadzieścia.

– Drogi panie – rzekł nieznajomy – pańska historia jest również moją, i historią tysiąca młodych ludzi, którzy co rok napływają z prowincji do Paryża. Nie jesteśmy jeszcze z najnieszczęśliwszych. Widzisz pan ten teatr? – rzekł, pokazując wierzchołki Odeonu<sup>116</sup>. – Pewnego dnia w jednym z domów wychodzących na plac osiedlił się człowiek z talentem, pogrążony w otchłani nędzy; żonaty – nadmiar nieszczęścia, które nas obu jeszcze nie dotyka! – z kobietą, którą kochał; biedny lub bogaty, jak pan woli, dwojgiem dzieci; przytłoczony długami, ale pełen ufności w swe pióro. Przedkłada Odeonowi komedię w pięciu aktach, przyjmują ją, przeznaczają do grania przed innymi, próby w toku, dyrektor nagli. Tych pięć szans to pięć dramatów trudniejszych do zrealizowania niż napisanie pięciu aktów. Biedny autor, gnieźdzący się na

---

<sup>116</sup> *Odeon* – teatr w Paryżu, otwarty w 1782 roku dla zespołu Comédie Française, od 1796 siedziba zespołu pod nazwą Odéon; dwukrotnie niszczone w pożarze (1799 i 1818) i odbudowywany. [przypis edytorski]

poddaszu, które może pan stąd oglądać, wyczerpuje ostatnie środki, aby wyżyć do dnia triumfu, żona zastawia suknie, cała rodzina żyje tylko chlebem. W dzień ostatniej próby a wilię<sup>117</sup> przedstawienia małżeństwo dłużne było w dzielnicy pięćdziesiąt franków: piekarz, mleczarz, odźwierny. Poeta rachował tylko to, co niezbędne: frak, koszulę, pantalony, kamizelkę i trzewiki. Pewien powodzenia, przychodzi uściskać żonę, oznajmia koniec niedoli. „Wreszcie nic nie stoi między nami a szczęściem!” – wykrzyknął. „Owszem, ogień – odparła żona – patrz, Odeon się pali!” Panie, Odeon się pali! Nie skarż się tedy. Masz ubranie, nie masz żony ani dzieci, masz za sto dwadzieścia franków **możliwości** w kieszeni i nie jesteś nic winien nikomu. Sztuka miała sto pięćdziesiąt przedstawień w teatrze Louvois. Król wyznaczył autorowi pensję. Wszak Buffon<sup>118</sup> powiedział, że geniusz to cierpliwość. Cierpliwość to w istocie cnota najbardziej zbliżająca człowieka do systemu, jakiego natura używa przy swoich dziełach. Czym jest sztuka? To skupiona natura.

Młodzi ludzie przemierzali w tej chwili Luksemburg. Lucjan dowiedział się niebawem nazwiska, później okrytego sławą, towarzysza, który się starał go pocieszyć. Młody człowiek był

---

<sup>117</sup> *wilia* (daw., reg.) – dzień poprzedni, poprzedzający; też: *wigilia*. [przypis edytorski]

<sup>118</sup> *Buffon, Georges Louis Leclerc de* (1707–1788) – francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodoznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

to Daniel d'Arthez, dziś jeden z najznakomitszych pisarzy i jeden z rzadkich ludzi, którzy w duchu podniosłej myśli poety przedstawiają „zgodność pięknego talentu i pięknego charakteru”.

– Nie można być wielkim człowiekiem tanim kosztem – mówił Daniel łagodnie. – Geniusz skrapia swoje dzieła własnymi łzami. Talent to istota duchowa, która, jak wszystkie żywe stworzenia, w dzieciństwie skłonna jest do chorób. Społeczeństwo odtrąca talenty niezupełne, jak natura uprzęta istoty słabe lub niedokształcone. Kto chce się wznieść nad poziom, winien się przygotować na walkę, nie cofać się przed żadną trudnością. Wielki pisarz jest męczennikiem, który nie umrze, oto wszystko. Masz na czole piętno geniuszu – rzekł d'Arthez, obejmując Lucjana spojrzeniem – jeżeli nie posiadasz w sercu jego woli, jego anielskiej cierpliwości, jeżeli bez względu na odległość od celu, w jakiej cię postawią igraszki losu, nie podejmiesz na nowo, jak żółwie, w jakim bądź się kraju znajdują, drogi do nieskończoności, jak one drogi do ukochanego oceanu, daj już dziś za wygraną.

– Zatem pan gotuje się na męki? – rzekł Lucjan.

– Na próby wszelkiego rodzaju, na potwarz, zdradę, niesprawiedliwość rywali, na bezczelność, podstępny, brutalności rzemiosła – odparł młody człowiek zrezygnowanym głosem. – Jeżeli twe dzieło jest piękne, cóż znaczy pierwsza strata?...

– Chce pan przeczytać i osądzić?...

– Zgoda – rzekł d'Arthez. – Mieszkam przy ulicy des Quatre-

Vents, w domu, gdzie jeden z najznakomitszych ludzi, jeden z najpiękniejszych geniuszów naszych czasów, fenomen nauki, Desplein, największy chirurg, przecierpiał lata męczeństwa, borykając się z pierwszymi trudnościami życia i sławy w Paryżu. To przypomnienie wlewa mi co wieczór dawkę odwagi, jakiej potrzebuję co rano. Mieszkam w tym pokoju, w którym on często jadał, jak Rousseau, chleb i wiśnie, ale bez Teresy<sup>119</sup>. Przyjdź pan za godzinę, będę w domu.

Dwaj poeci rozstali się, ściskając sobie dłonie z nieopisanym wylewem melancholijnej czułości. Lucjan pobiegł po rękopis. Daniel poszedł zastawić w lombardzie zegarek i kupić dwa naręcza drzewa, aby nowy przyjaciel zastał ogień, było bowiem zimno. Lucjan stawiał się punktualnie. Ujrzał dom o wyglądzie jeszcze lichszym niż jego hotel! Na końcu długiego, ciemnego korytarza domacał się równie ciemnych schodów. Pokój, na piątym piętrze, miał dwa okienka, między którymi znajdowała się szafka, pełna opatrzonych napisami pudełek. Nędzne, drewniane łóżko przypominające sypialnie w kolegiach, nocny stolik kupiony gdzieś przypadkiem i dwa włosiem kryte fotele zajmowały głąb pokoju, obitego pożółkłą od dymu i starości tapetą. Długi stół pełen papierów stał między kominkiem a jednym z okien; naprzeciw licha mahoniowa komoda. Wypełzły dywan wyścielał całą podłogę.

---

<sup>119</sup> *Levasseur, Thérèse* (1721–1801) – partnerka Rousseau, prosta kobieta, poznana przez niego podczas pobytu w Paryżu, urodziła mu pięcioro dzieci, główna spadkobierczyni po jego śmierci. [przypis edytorski]

Ten niezbędny zbytek oszczędzał opału. Koło stołu czerwony spłowiąły juchtowy<sup>120</sup> fotel oraz sześć nędznych krzeseł dopełniało umeblowania. Na kominku Lucjan ujrział stary świecznik z abażurem, dźwigający cztery świece. Kiedy Lucjan, widząc we wszystkich szczegółach oznaki twardej nędzy, zdziwił się tym zbytkiem, d'Arthez odpowiedział, że nie znosi zapachu łojówki<sup>121</sup>. Okoliczność ta zdradzała wielką delikatność zmysłów, oznakę wykwintnej wrażliwości. Czytanie trwało siedem godzin. Daniel słuchał z religijnym skupieniem, nie mówiąc słowa, nie robiąc uwag, jeden z rzadkich dowodów dobrego smaku u słuchacza.

– I cóż? – rzekł doń Lucjan, kładąc rękopis na kominku.

– Jesteś na pięknej i dobrej drodze – odparł poważnie młody człowiek – ale dzieło twoje wymaga jeszcze pracy. Jeżeli nie chcesz po prostu małpować Waltera Scotta, trzeba ci tworzyć w sposób odmienny, ty zaś poszedłeś jego śladem. Zaczynasz, jak on, za pomocą długich rozmów, aby postawić swoje osobistości; kiedy się nagadały, przechodzisz do opisów i akcji. Przeciwstawienie to, potrzebne każdemu dramatycznemu dziełu, zjawia się na końcu. Odwróć cały problem do góry nogami. Zastąp te rozwlekłe rozmowy, wspaniałe u Scotta, ale bezbarwne u ciebie, opisami, do których nasz język tak dobrze się nadaje. Niech dialog będzie u ciebie naturalną konsekwencją, która wieńczy przygotowania. Wejdz od początku

---

<sup>120</sup> *jucht* – wyprawiona skóra bydlęca. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *łojówka* (pot.) – świeca z łoju. [przypis edytorski]

w akcję. Ujmij przedmiot to z tej, to z owej strony; zmieniaj kąty widzenia i plany, aby uniknąć monotonii. Odkryjesz nowe źródło, stosując do historii Francji dialog szkockiego pisarza. Walter Scott jest bez namiętności, nie zna jej lub może wzbronila mu jej obłuda jego kraju. Dla niego kobieta jest wcielonym obowiązkiem. Z małymi wyjątkami, heroiny jego są zawsze jednakie: malując je, używa tylko jednej farby. Wszystkie pochodzą od Klaryssy Harlowe<sup>122</sup>: sprowadzając wszystkie do abstrakcji, umiał stworzyć tylko galerię jednego typu, urozmaiconą mniej lub więcej żywym zabarwieniem. Kobieta, będąc wcielonym uczuciem, wnosi nieład w społeczeństwo. Namiętność posiada nieskończoną skalę przypadków. Maluj więc namiętności, zdobędziesz olbrzymie zasoby, których pozbawił się ten wielki pisarz w zamian za to, aby go czytano w każdej rodzinie świętoszkowatej Anglii. We Francji możesz przeciwstawić urocze błędy i świetne obyczaje katolickiego świata posępnyemu typom kalwinizmu; wszystko na tle najbardziej dyszącego namiętnościami okresu naszych dziejów. Każde prawdziwe panowanie, począwszy od Karola Wielkiego<sup>123</sup>, będzie wymagało co najmniej jednego dzieła, a niektóre czterech lub pięciu, jak Ludwik XIV, Henryk IV,

---

<sup>122</sup> *Klaryssa Harlowe* – bohaterka popularnego w XVIII w. romansu pt. *Historia Clarissy Harlowe* (1748), napisanego przez angielskiego pisarza Samuela Richardsona. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Karol Wielki* (ok. 742–814) – król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

Franciszek I<sup>24</sup>. W ten sposób stworzysz malowniczą historię Francji: odmalujesz kostiumy, sprzęty, domy, wnętrza, życie prywatne, dając równocześnie ducha czasu zamiast opowiadać z mozołem znane fakty. Na tej drodze możesz się stać oryginalny, prostując popularne legendy zniekształcające większość naszych królów. Odważ się w pierwszym dziele przywrócić na piedestał wielką i wspaniałą postać Katarzyny<sup>125</sup>, którą poświęciłeś utartym przesądom. Wreszcie, odmaluj Karola Dziewiątego<sup>126</sup> takim, jakim był, a nie jakim go uczynili protestanccy pisarze. Po dziesięciu latach wytrwałości będziesz miał sławę i fortunę.

Była dziewiąta. Lucjan wszedł w ślady dyskretnej rozrzutności przyjaciela, ofiarując mu obiad u Edona, gdzie wydał dwanaście

---

<sup>124</sup> *Ludwik XIV, Henryk IV, Franciszek I – Ludwik XIV* (1638–1715): król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej; *Henryk IV* (1553–1610): król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów, obniżył podatki dla chłopów, zredukował dług publiczny, ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju; *Franciszek I Walezjusz* (1494–1547): król Francji (od 1515), wzmocnił władzę królewską, usprawnił finanse państwa, językiem urzędowym ustanowił francuski (zamiast łaciny), finansował biblioteki. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *Katarzyna Medycejska* (1519–1589), księżna z rodu włoskich Medyceuszy, żona króla Francji Henryka II, po śmierci swego męża w 1559 wywierała decydujący wpływ na politykę swych synów, kolejnych królów Francji: Franciszka II, Karola IX i Henryka III Walezego. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *Karol IX Walezjusz* (1550–1574) – król Francji (od 1560); pozostawał pod silnym pod wpływem matki, Katarzyny Medycejskiej, która sprawowała rządy podczas jego małoletności; na jego panowanie przypada początek wojen religijnych we Francji po masakrze hugenotów (francuskich protestantów) w Wassy (1562) oraz krwawa rozprawa z hugenotami w Paryżu (tzw. noc św. Bartłomieja, 1572). [przypis edytorski]

franków. Podczas tego obiadu Daniel zwierzył mu tajemnicę swoich nadziei i prac. D'Arthez nie uznawał wybitnego talentu bez głębokich wiadomości metafizycznych. W tej chwili nurzał się w bogactwach filozoficznych dawnych i nowych czasów, aby je sobie przyswoić. Chciał być głębokim filozofem, jak Molière, zanim zaczął pisać komedie. Studiował świat pisany i świat żywy, myśl i fakt. Miał przyjaciół uczonych naturalistów, młodych lekarzy, pisarzy politycznych i artystów, samych ludzi pracowitych, poważnych, rokujących przyszłość. Żył ze sumiennych i skąpo płatnych artykułów w dykcyonarzach<sup>127</sup> biograficznych, encyklopedycznych lub przyrodniczych; dostarczał ich zresztą ani mniej, ani więcej, niż było niezbędne, aby wyżyć i móc snuć swoją myśl. D'Arthez miał na warsztacie utwór literacki podjęty tylko po to, aby studiować środki języka. Książkę tę, jeszcze nieskończoną, podejmowaną i rzucaną wedle kaprysu, zachowywał na dni wielkiej nędzy. Był to utwór psychologiczny, kryjący pod formą powieści głębokie perspektywy. Mimo że Daniel, mówiąc o sobie, starał się być skromny, Lucjanowi wydał się olbrzymem. Wychodząc z restauracji o jedenastej, Lucjan powziął żywą przyjaźń dla tej cnoty bez napuszenia, dla tej natury szczytnej bez świadomości o tym. Poeta nie roztrząsał rad Daniela, zastosował się do nich dosłownie. Ten piękny talent, już dojrzały przez myśl i krytykę uprawianą w samotności, dla siebie, nie dla drugich, otworzył mu

---

<sup>127</sup> *dykcyonarz* (daw.) – słownik, leksykon a. alfabetyczny spis biografii sławnych osób. [przypis edytorski]

nagle bramę najwspanialszych pałaców wyobraźni. Mieszkaniec prowincji uczuł na wargach dotknięcie żarzącego węgla; słowo paryskiego pracownika znalazło w mózgu poety z Angoulême przygotowaną glebę. Lucjan wziął się do przekuwania swego dzieła.

Szczęśliwy, iż spotkał w pustyni Paryża serce, którego szlachetne uczucia były w harmonii z jego sercem, wielki człowiek z prowincji zrobił to, co czynią wszyscy młodzi ludzie spragnieni uczucia: przywiązał się do d'Artheza jak chroniczna choroba, wstępował po niego, śpiesząc do biblioteki, przechadzał się z nim w pogodne dni po Luksemburgu, towarzyszył mu co wieczór aż do biednego pokoiku, spożywszy obok niego obiad u Flicoteaux, słowem, wtulił się w d'Artheza tak, jak żołnierz przytulał się do sąsiada w mroźnych równinach Rosji. W pierwszych dniach Lucjan zauważył, nie bez przykrości, pewne skrępowanie jego obecnością, skoro kółko przyjaciół zeszło się razem. Rozmowy tych niepospolitych ludzi, o których d'Arthez mówił mu ze skupionym entuzjazmem, trzymały się w granicach powściągliwości, kłócacej się z oznakami ich żywej przyjaźni. Lucjan wychodził wówczas dyskretnie, odczuwając niejaką przykrość, spowodowaną ostracyzmem, którego był przedmiotem, oraz ciekawością, jaką budziły w nim te nieznanne osobistości; wszyscy bowiem nazywali się tylko po imieniu. Wszyscy nosili na czole, jak d'Arthez, piętno geniuszu. Wreszcie, po tajemnej opozycji zwalczanej bez jego wiedzy przez Daniela, uznano Lucjana godnym zająć miejsce w biesiadzie tych

wielkich umysłów. Lucjan mógł wówczas poznać bliżej tych ludzi, spojonych najwyższymi węzłami sympatii i powagą intelektu. Schodzili się prawie co wieczór u d'Artheza. Wszyscy przeczuwali w nim wielkiego pisarza: patrzyli nań jak na swego wodza, od chwili gdy stracili jeden z największych umysłów tej doby, mistycznego geniusza, dotychczasowego swego naczelnika, który, dla przyczyn zbyt licznych do wyjaśnienia tutaj, wrócił na prowincję i o którym Lucjan nieraz słyszał pod mianem Ludwika. Łatwo zrozumieć, ile ci ludzie musieli budzić ciekawości i zainteresowania w poecie, wedle miary tych, którzy później doszli, jak d'Arthez, pełni swej sławy; wielu bowiem z nich padło w drodze.

Z tych, którzy żyją jeszcze, był Horacy Bianchon, wówczas medyk w szpitalu Bożego Ciała, później jeden ze świeczników szkoły paryskiej, zbyt znany obecnie, aby było trzeba malować jego postać lub tłumaczyć charakter i umysł. Następnie Leon Giraud, ów wielki filozof, śmiały teoretyk, który przetrząsa wszystkie systemy, sądzi je, streszcza, formułuje i wlecze do stóp swego bożyszczka, Ludzkości; zawsze wielki, nawet w swych błędach, uszlachetnionych dobrą wiarą. Ten nieustraszony pracownik, ten sumienny uczonek stał się wodzem moralnej i politycznej szkoły, o której wartości czas jedynie może wydać wyrok. Jeżeli przekonania skierowały losy Leona w regiony obce jego towarzyszom, zawsze mimo to pozostał ich wiernym przyjacielem. Sztukę reprezentował Józef Bridau, jeden z najlepszych malarzy młodej szkoły. Gdyby nie tajemne

nieszczęścia, na które skazuje go zbyt wrażliwa natura, Józef, który zresztą nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa, byłby mógł podjąć tradycje wielkich mistrzów włoskiej szkoły: ma rysunek rzymski i koloryt wenecki; ale miłość zabija go i kaleczy mu nie tylko serce: miłość topi groty w jego mózgu, paczy mu życie i przyprawia je o najdziwaczniejsze zygzaki. Jeśli w danej chwili kochanka zbyt go uszczęśliwia lub unieszczęśliwia, Józef zdolny jest wysłać na wystawę to szkice, na których farba zalewa rysunek, to obrazy, które chciał skończyć mimo brzemienia urojonych niedoli i gdzie znów rysunek zaprzął go tak, iż kolor, nad którym panuje w zupełności, zaginął. Zwodzi nieustannie i publiczność, i przyjaciół. Hoffmann<sup>128</sup> ubóstwiałyby go za zuchwalstwo, z jakim przesuwają słupy graniczne sztuki, za jego kaprysy, fantazję. Kiedy jest w pełni siły, budzi podziw, napawa się nim i gniewa się, skoro nie znajduje pochwał za dzieła chybione, w których oczy jego duszy widzą to, czego brak jest dla oczu publiczności. Fantasta w najwyższym stopniu, nieraz w obecności przyjaciół niszczył skończony obraz, który mu się wydał nadto „wylizany”.

– Zanadto wypracowane – mówił – zbyt szkolarskie!

Oryginalny i wzniosły niekiedy, zna wszystkie nieszczęścia i wszystkie rozkosze nerwowych organizacji, u których doskonałość wyradza się w chorobę. Dowcip ma pokrewny

---

<sup>128</sup> Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) – niemiecki pisarz, rysownik i kompozytor, autor opowiadań fantastycznych. [przypis edytorski]

ze Sterne'em<sup>129</sup>, ale bez literackiego opracowania. Jego powiedzenia, rzuty myśli posiadają niesłychaną soczystość. Jest wymowny i umie kochać, ale z domieszką kaprysu, który wnosi w uczucia, jak i w **robotę**. Kochano go w Biesiadzie właśnie za to, co świat mieszczański nazwałby wadami. Wreszcie, Fulgencjusz Ridal, jeden ze współczesnych autorów obdarzonych najwyższą werwą komiczną, poeta bez troski o sławę, rzucający teatrowi jedynie swe najtańsze utwory i zachowujący w seraju<sup>130</sup> swego mózgu, dla siebie, dla przyjaciół, najładniejsze sceny, żądający od publiczności jedynie środków do niezależnego życia, spoczywający na laurach, z chwilą gdy je uzyskał. Leniwy i płodny jak Rossini<sup>131</sup>, zniewolony jak wielcy poeci komiczni, jak Molier i Rabelais<sup>132</sup>, rozważać świat ze wszystkich stron, był sceptykiem, umiał śmiać się i śmiał się ze wszystkiego. Fulgencjusz Ridal jest wielkim filozofem praktycznym. Jego znajomość świata, geniusz obserwacji, wzgarda dla sławy, którą nazywa błazeństwem, nie wysuszyły mu serca. Równie czynny dla drugich, jak obojętny na własne interesy, jeśli zadaje sobie trud, to dla przyjaciela. Aby nie kłamać swej

---

<sup>129</sup> *Sterne, Laurence* (1713–1768) – powieściopisarz angielski, twórca prądu literackiego zwanego sentymentalizmem. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *seraj* – pałac władcy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Rossini, Gioachino Antonio* (1792–1868) – włoski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Rabelais, François* (ok. 1484–1553) – francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*. [przypis edytorski]

masce, w istocie rabelaisowskiej, nie gardzi rozkoszami stołu, ale ich nie szuka, jest równocześnie melancholijny i wesoły. Przyjaciele zwał go „psem pułkowym”; nic nie maluje go lepiej niż ten przydomek. Trzej inni, co najmniej równie niepospolici, jak ci czterej, mieli kolejno ulec walce. Najpierw Meyraux, który umarł, obudziwszy wprzód słynną dysputę pomiędzy Cuvierem a Geoffroyem Saint-Hilaire'em<sup>133</sup>, poruszywszy wielkie zagadnienie, które miało podzielić świat naukowy między owych geniuszy równej miary, na kilka miesięcy przed śmiercią tego, który oświadczał się za ścisłą i analityczną wiedzę przeciw żyjącemu jeszcze i czczonemu w Niemczech panteiście<sup>134</sup>. Meyraux był przyjacielem owego Ludwika, którego przedwczesna śmierć miała niebawem wyrwać ze świata intelektu. Do tych dwóch ludzi, obu naznaczonych śmiercią, obu nieznanym dziś mimo ogromu wiedzy i geniuszu, trzeba dodać Michała Chrestien, republikanina wielkiej miary,

---

<sup>133</sup> *Saint-Hilaire, Étienne Geoffroy* (1772–1844) – francuski zoolog, anatom porównawczy, prekursor myśli ewolucyjnej. W 1794 roku rozpoczął korespondencję z Georges'em Cuvierem, z którym wspólnie opublikował kilka dzieł. W 1830 popadł w ostry spór z Cuvierem i przez dwa miesiące prowadził z nim debatę naukową przed francuską Akademią Nauk na temat planów budowy i stałości gatunków, podkreślając, że wszystkie zwierzęta są uformowane z takich samych zasadniczo elementów, według wspólnego, jednolitego planu, zaś gatunki mogą ulegać zmianom, podczas gdy Cuvier twierdził, że budowa różnych grup organizmów jest różna, a gatunki niezienne. Dyskusja była szeroko komentowana przez europejskich naukowców. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *czczony w Niemczech panteista* – Johann Wolfgang Goethe (1749–1832), wybitny poeta i pisarz niemiecki. [przypis edytorski]

który marzył o federacji Europy i który w 1830 silnie się zaznaczył w ruchu saintsimonistów<sup>135</sup>. Mąż polityczny na miarę Saint-Justa<sup>136</sup> i Dantona<sup>137</sup>, ale prosty i słodki jak panienka, pełen złudzeń i uczucia, obdarzony melodyjnym głosem, który byłby oczarował Mozarta, Webera<sup>138</sup> lub Rossiniego i śpiewający niektóre piosenki Bérangera<sup>139</sup> w sposób zdolny upoić serce poezją, miłością i nadzieją, Michał Chrestien, biedny jak Lucjan, jak Daniel, jak wszyscy jego przyjaciele, zarabiał na życie z diogeniczną<sup>140</sup> beztroską. Układał skorowidze do wielkich dzieł, prospekty księgarskie, kryjąc zresztą milczeniem swe poglądy, jak grób kryje tajemnice śmierci. Ten wesoły cygan, wielki mąż stanu, który byłby może przemienił oblicze świata, padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri<sup>141</sup>. Kula

---

<sup>135</sup> *saintsimoniści* – zwolennicy doktryny filoz.-społecznej Henriego de Saint-Simon (1760–1825), socjalizmu utopijnego. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *Saint-Just, Louis de* (1767–1794) – jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, jakobin, zwolennik Robespierre'a, zasłynął z rewolucyjnego zaangażowania i bezwzględności. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *Danton, George* (1759–1794) – mówca i jeden z największych mężów stanu w czasie Rewolucji Francuskiej; oskarżony o działalność kontrrewolucyjną, został stracony. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *Weber, Karol Maria von* (1786–1826) – niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Béranger, Pierre Jean de* (1780–1857) – francuski poeta, autor piosenek. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *diogeniczny* – taki jak u Diogenesa z Synopy (413–323 p.n.e.), greckiego filozofa znanego z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri* – podczas powstania republikanów w Paryżu, 5–6 czerwca 1832; przy kościele i klasztorze Saint Merri

jakiegoś tyka<sup>142</sup> zabiła jedną z najszlachetniejszych istot, jakie stapały po ziemi francuskiej. Michał Chrestien zginął za nie swoje przekonania. Jego federacja zagrażała o wiele więcej niż republikanizm europejskiej arystokracji; była racjonalniejsza i mniej dzika niż wariactwo nieograniczonej wolności głoszone przez młodych szaleńców, którzy się mienili spadkobiercami Konwentu<sup>143</sup>. Śmierć tego szlachetnego plebejusza opłakali wszyscy, co go znali; nie ma wśród nich żadnego, który by nie myślał, i często, o tym wielkim nieznanym polityku.

Tych dziewięć osób składało Biesiadę, w której przyjaźń i szacunek zapewniały jedność wśród najsprzeczniejszych idei i doktryn. Daniel d'Arthez, szlachcic pikardzki, oświadczał się za monarchią z równym przekonaniem, z jakim Michał Chrestien głosił swój europejski federalizm. Fulgencjusz Ridal drwił z filozoficznych doktryn Leona Giraud, który znowuż przepowiadał d'Arhezowi koniec chrystianizmu i rodziny. Michał Chrestien, który wierzył w Chrystusa, boskiego prawodawcę równości, bronił nieśmiertelności duszy przeciw skalpelowi Bianchona, umysłu na wskroś analitycznego. Wszyscy dyskutowali, nie dysputując. Nie znali próżności, sami dla siebie stanowiąc audytorium. Dzielili się wynikami prac i wspierali się wzajem radą z cudowną dobrą wiarą młodości. Jeśli

---

znajdowała się największa barykada i ostatni bastion powstańców, broniony przez kilkaset osób. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> tyk (daw.) – pogard.: mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *Konwent* – Konwent Narodowy, rewolucyjne przedstawicielstwo ludu francuskiego po obaleniu monarchii w latach 1792–1795. [przypis edytorski]

chodziło o rzecz poważną, oponent porzucał swoje mniemania, aby wejść w idee przyjaciela, tym gorliwszy w pomocy, ile że był bezstronny w sprawie lub w dziele wychodzących poza obręb jego myśli. Prawie wszyscy odznaczyli się słodyczą i tolerancją: dwa przymioty świadczące o ich wyższości. Zawiść, ten okropny przywilej zawiedzionych nadziei, poronionych talentów, chybionych sukcesów, zranionych pretensji, była im obca. Kroczyli zresztą rozmaitymi drogami. Toteż każdy, kogo, jak Lucjana, dopuszczono do towarzystwa, czuł się w nim dobrze. Prawdziwy talent jest zawsze naiwny i dobroduszny, otwarty, nienadęty; dowcip jest zawsze u niego igraszką myśli, nie godzi nigdy w miłość własną. Z chwilą gdy przybysz ocknął się z pierwszego wzruszenia zbudzonego uczuciem szacunku, doświadczał nieskończonej słodyczy w towarzystwie tych rzadkich młodzieńców. Poufałość nie wykluczała poczucia swej wartości; każdy żywił głęboki szacunek dla drugiego; wreszcie, ponieważ każdy bywał kolejno dobroczyńcą lub obdarowanym, przyjmowali wzajemną pomoc bez wzdragania. Rozmowy, pełne uroku a nienużące, ogarniały najróżnorodniejsze przedmioty. Lekkie jak strzała słowa wnikały w głąb, mimo iż padały chybko. Materialna nędza i bogactwa intelektu tworzyły osobliwy kontrast. Tam, jeżeli ktoś myślał o realnościach życia, to chyba po to, aby w nich znaleźć przedmiot do przyjacielskich żarcików. Jednego dnia, kiedy zimno przedwcześnie dało się uczuć, pięciu przyjaciół d'Artheza przybyło z tą samą myślą: wszyscy przynieśli pod płaszczem drwa, jak w owych sielskich

uczach, gdzie każdy z zaproszonych ma dostarczyć jedno danie i wszyscy przynoszą pasztet. Wszyscy obdarzeni byli ową pięknnością moralną, która odbija się w formie zewnętrznej i która zarówno jak praca i czuwanie złoci młode twarze jakimś boskim odblaskiem. Rysy mieli nieco zmęczone, ale oczyszczone i zharmonizowane skromnością życia i ogniem myśli. Czoła ich odznaczały się poetyczną wyrazistością. Żywe i błyszczące oczy świadczyły o życiu bez zmazy. Kiedy im doskwierała nędza, umieli ją znosić tak wesoło, dzielić ją z takim zapałem, że nie mąciła ona bynajmniej ich pogody. Pogoda jaśniała też na twarzy tych młodych ludzi, wolnych jeszcze od ciężkich błędów. Nie splamili się żadnym z owych kompromisów, do jakich nagina bunt przeciw ubóstwu, chęć dojścia do celu bez wyboru środków i łatwa pobłażliwość, z jaką ludzie pióra przyjmują albo puszczają w niepamięć zdrady. To, co czyni przyjaźń nierozzerwalną i zdwaja jej urok, to uczucie, którego brak jest miłości: ufność. Byli pewni siebie wzajem: wróg jednego stawał się wrogiem wszystkich, byliby podeptali własne najpilniejsze interesy dla świętej solidarności serc. Niezdolni do podłości, mogli śmiało spojrzeć w oczy wszelkiemu oskarżeniu i bronić się wzajem z zupełną pewnością. Jednakowoż szlachetni sercem i silni uczuciem, mogli w sferze wiedzy i inteligencji wszystko pomyśleć i wszystko sobie powiedzieć; stąd niewinność ich zachowania i wesołość rozmów. Umysł ich, pewien wzajemnego porozumienia, igrał swobodnie; toteż nie robili z sobą ceremonii, zwierali sobie troski i radości, myśleli i cierpieli pełnym

sercem. Urocze dowody delikatności, które czynią z bajki o *Dwóch przyjaciółach*<sup>144</sup> skarb dla wielkich dusz, były u nich czymś codziennym. Trudność ich w dopuszczeniu nowego przybysza była zrozumiała: zbyt byli świadomi własnej wielkości i szczęścia, aby je mącić nowym i nieznanym elementem.

Ta federacja uczuć i interesów trwała bez wstrząśnień i zawodów dwadzieścia lat. Śmierć jedynie, zabierając im Ludwika Lambert, Meyraux i Michała Chrestien, mogła uszczuplić tę szlachetną plejadę. Kiedy w roku 1832 ten ostatni padł, Horacy Bianchon, Daniel d'Arthez, Leon Giraud, Józef Bridau, Fulgencjusz Ridal poszli, mimo niebezpieczeństw tego kroku, zabrać jego ciało z Saint-Merri, aby mu oddać ostatnią posługę wobec rozpalonego oblicza polityki. Odprowadzili drogie szczątki w nocy na Père-Lachaise<sup>145</sup>. Horacy Bianchon usunął wszystkie trudności, nie cofnął się przed żadnym krokiem; uprosił ministrów, wyznając swą dawną przyjaźń dla poległego federalisty<sup>146</sup>. Wzruszająca ta scena wyryła się w pamięci nielicznych przyjaciół, którzy towarzyszyli pięciu sławnym ludziom. Przechadzając się po tym wykwintnym cmentarzu, ujrzyście nabyty na wieczność kawał ziemi, gdzie wznosi się grób z darni i czarny drewniany krzyż. Na krzyżu

---

<sup>144</sup> *Dwaj przyjaciele* – bajka La Fontaine'a (ks. VIII, bajka 11). [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *Père-Lachaise* – największy i najświetniejszy cmentarz paryski. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *federalista* – zwolennik federalizmu, tu: ustroju społecznego będącego związkiem samodzielných wspólnot, bez centralnego rządu. [przypis edytorski]

wyryte są czerwonymi literami dwa słowa: Michał Chrestien. Jest to jedyny pomnik w swoim stylu. Przyjaciele sądzili, iż temu pełnemu prostoty człowiekowi trzeba oddać hołd z tą samą prostotą.

To zimne poddasze urzeczywistniało tedy najpiękniejsze marzenia serca. Tam bracia, wszyscy jednakowo tędzy w rozmaitych gałęziach wiedzy, oświecali się wzajem z dobrą wiarą, wyznając sobie wszystko, nawet swoje złe myśli. Wszyscy posiadali olbrzymie wykształcenie i wszyscy doświadczeni byli w próbach nędzy. Raz dopuszczony między te wyborowe istoty i przyjęty za swego, Lucjan wcielał tam poezję i piękność. Przeczytał swoje sonety, które wzbudziły zachwyty. Dopraszano się o sonet, jak on prosił Michała Chrestiena o piosenkę. W pustyni Paryża Lucjan znalazł tedy oazę przy ulicy des Quatre-Vents.

Z początkiem października Lucjan, obróciwszy resztę pieniędzy na zakup drzewa, został bez środków w pełni najzarliwszej pracy, mianowicie przetapiania swego dzieła. Daniel d'Arthez palił torfem i znosił heroicznie nędzę; nie skarżył się, był systematyczny jak stara panna i podobny do skąpca swą metodycznością. Ten hart podsycał wytrwałość Lucjana, który, niedawno należąc do grona, miał nieprzeparty wstręt do mówienia o swojej nędzy. Jednego dnia zapuścił się na ulicę du Coq, aby sprzedać *Gwardzistę Karola IX* staremu Doguereau, ale go nie zastał. Lucjan nie wiedział, ile w wielkich duszach mieszka pobłażliwości. Każdy z jego przyjaciół

pojmował słabości właściwe poetom, odpływy po napięciach duszy zaognionej kontemplacją natury, której odtwarzanie jest ich posłannictwem. Ci ludzie, tak silni wobec własnych niedoli, byli tkliwi dla nieszczęść Lucjana. Domyślili się jego braków. Słodkie tedy wieczory gawęd, głębokich roztrząsań, poezji, zwierzeń, lotów pełnymi skrzydłami w sfery inteligencji, w przyszłość narodów, w historię Biesiada ozdobiła rysem, który dowodzi, jak mało Lucjan zrozumiał nowych przyjaciół.

– Lucjanie, mój drogi – rzekł Daniel – nie przyszedłeś wczoraj do Flicoteaux, wiemy przyczynę.

Lucjan nie mógł wstrzymać łez, które spływały mu po licach.

– Nie miałeś zaufania do nas – rzekł Michał Chrestien – a przecież w dziesięciu potrafimy zapewne czegoś dokonać...

– Wszyscy, jak nas tu widzisz – rzekł Bianchon – znaleźliśmy jakiś dodatkowy zarobek: ja, z polecenia Despleina, pielęgnowałem bogatego mieszczucha; d'Arthez machnął artykuł dla „Przeglądu Encyklopedycznego”<sup>147</sup>; Chrestien godził się już zaśpiewać publicznie parę piosenek, ale znalazł zamówienie na broszurę dla jegomościa, który pragnie wejść w politykę: uciał mu Makiawela za całe sześćset franków! Leon Giraud pożyczył pięćdziesiąt franków u księgarza, Józef posprzedawał jakieś kicze, Fulgencjusz zaś wystawił w niedzielę sztukę i miał nabita salę.

– Oto dwieście franków – rzekł Daniel – weź je i niech się to

---

<sup>147</sup> „Przegląd Encyklopedyczny” – „Revue encyclopédique”, francuski miesięcznik poświęcony nauce, literaturze i sztuce, wydawany w l. 1819–1833. [przypis edytorski]

już nie powtórzy.

– Patrzajcie, on się nam na szyję rzuca, jakbyśmy zrobili coś nadzwyczajnego! – rzekł Chrestien.

Aby dać pojęcie o rozkoszach, jakich doznawał Lucjan wśród tej żywej encyklopedii anielskich duchów, tych młodzieńców, z których każdy nosił znamię oryginalności płynącej z uprawianej przezeń gałęzi wiedzy, wystarczy przytoczyć odpowiedzi, jakie otrzymał nazajutrz na list napisany do rodziny, arcydzieło tkliwości, zapału, przeraźliwy krzyk, jaki dobyła zeń rozpacz.

Dawid Séchard do Lucjana

Drogi Lucjanie, znajdziesz w tym liście weksel trzymiesięczny, na Twoje zlecenie, na sumę dwustu franków. Możesz go zrealizować przez pana Métivier, handlarza papieru, naszego dostawcy w Paryżu, ul. Serpente. Mój dobry Lucjanie, nie mamy absolutnie nic. Ewa wzięła się do prowadzenia drukarni i wywiązuje się z tego z poświęceniem, cierpliwością, energią, które każą mi błogostawić niebo, iż dało mi za żonę takiego anioła. Ona sama uznała niemożność udzielenia Ci najlżejszej pomocy. Ale, drogi przyjacielu, sądzę, że jesteś na tak pięknej drodze, w otoczeniu serc tak wielkich i szlachetnych, że nie możesz chybić swego losu, wsparty pomocą boskiej niemal inteligencji owych ludzi, których Twój drogi list dał nam poznać. Bez wiedzy Ewy podpisałem przeto ten oblig<sup>148</sup>; znajdę jakiś sposób, aby go wyrównać. Nie schodź ze swej drogi: jest twarda, ale będzie chlubna. Wolałbym

---

<sup>148</sup> *oblig* (daw.) – zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

przecierpieć tysiąc nieszczęść, niż żyć z myślą, że wpadłeś w jakieś bagno Paryża: widziałem ich tyle!... Unikaj, jak dotąd, podejrzanych miejsc, złych ludzi, wartogłów<sup>149</sup> i pewnego typu literatów, których w czasie pobytu w Paryżu nauczyłem się cenić wedle prawdziwej wartości. Słowem, bądź godnym współzawodnikiem niebiańskich duchów, które dałeś mi pokochać. Postępowanie Twoje znajdzie niebawem nagrodę. Bądź zdrow, ukochany bracie; napełniłeś radością me serce; nie spodziewałem się po Tobie tyle męstwa.

*Dawid*

Ewa Séchard do Lucjana

Mój drogi, Twój list wycisnął nam łzy. Niech te szlachetne serca, ku którym dobry anioł Cię zawiódł, wiedzą o tym: matka oraz biedna kobieta modlą się za nich rano i wieczór do Boga; a jeśli najzarliwsze modły dochodzą Jego tronu, uzyskają nieco łaski dla was wszystkich. Tak, bracie, imiona ich wryte są w moim sercu. Och, ujrzę ich kiedyś. Pójdę, choćbym miała wędrować pieszo, podziękować im za przyjaźń dla Ciebie, rozlała bowiem niby balsam na moje żywe rany. Tu, drogi bracie, pracujemy jak wyrobnicy. Mój mąż, ten nieznanym wielki człowiek, którego z każdym dniem więcej kocham, odkrywając coraz nowe bogactwa w jego sercu, zaniedbuje drukarnię i zgaduję, czemu: nędza Twoja, nasza, matki – zabijają go. Nasz ubóstwiany Dawid jest

---

<sup>149</sup> wartogłów (daw.) – narwaniec. [przypis edytorski]

niby Prometeusz pożerany przez sępa zgryzoty, żółtej zgryzoty o ostrym dziobie. O sobie ten szlachetny człowiek nie myśli, wierzy w zdobycie fortuny. Spędza całe dnie na doświadczeniach z dziedziny wyrobu papieru; prosił mnie, abym się zajęła sprawami, w których pomaga mi o tyle, o ile pozwalają mu jego prace. Niestety! Jestem w odmiennym stanie. To wydarzenie, które byłoby mnie przepełniło radością, zasmuca mnie w położeniu, w jakim jesteśmy. Biedna matka odmłodziła jakby i znalazła siłę, aby wrócić do męczącego zawodu pielęgniarstwa. Gdyby nie troski pieniężne, byłibyśmy szczęśliwi. Stary Séchard nie chce dać ani szeląga; Dawid próbował pożyczyć od niego parę talarów, aby Ci dopomóc, list Twój doprowadził go do rozpacz. „Znam Lucjana – mówił – straci głowę i narobi głupstw”. Połajałam go. „Mój brat miałby zboczyć w czymkolwiek z zacnej drogi!... – odparłam. – Lucjan wie, że umarłabym z bólu”. Obie z matką, bez wiedzy Dawida, zastawiłyśmy parę drobiazgów; matka wykupi je, skoro uszkłada trochę. Zdołałyśmy tą drogą uciąć jakieś sto franków, które przesyłam. Nie miej mi za złe, drogi, że nie odpowiedziałam na pierwszy list. Byliśmy w położeniu pochłaniającym dnie i noce, pracowałam jak mężczyzna. Doprawdy nie przypuszczałam w sobie tyle siły. Pani de Bargeton jest kobietą bez duszy i bez serca; nawet nie kochając Cię już, samej sobie była winna, aby się Tobą opiekować i pomagać Ci. Wyrwała Cię z naszych objęć, aby Cię rzucić w straszne morze paryskie, gdzie trzeba istnego cudu, aby spotkać szczerą przyjaźń w tym odmęcie ludzi i spraw! Nie ma jej co żałować. Pragnęłabym przy

Tobie kobiety oddanej, drugiej mnie, ale teraz, kiedy wiem, że masz przyjaciół, którzy zastępują Ci nasze uczucia, jestem spokojna. Rozwiń skrzydła, mój piękny, ukochany geniuszu! Będziesz naszą chlubą, jak już jesteś naszą miłością.

*Ewa*

Moje drogie dziecko, po tym, co Ci pisze siostra, mogę Cię tylko pobłogosławić i zapewnić, że moje modlitwy i myśli są, niestety! wszystkie pełne Ciebie, z uszczerbkiem tych, których mam przy boku; są bowiem serca, w których nieobecni nie tracą, lecz zyskują, i takim jest serce Twojej

*Matki*

W ten sposób w dwa dni później Lucjan mógł zwrócić przyjaciółom pożyczkę ofiarowaną z takim wdziękiem. Nigdy może życie nie zdało mu się piękniejsze, ale odruch jego ambicji nie uszedł głębokiego spojrzenia przyjaciół oraz ich wrażliwości.

– Można by myśleć, że lękaś się zawdzięczać nam cośkolwiek – wykrzyknął Fulgencjusz.

– Och, radość jego jest według mnie bardzo znacząca – rzekł Michał Chrestien – i potwierdza moje spostrzeżenie: Lucjan jest próżny.

– Jest poetą – rzekł d'Arthez.

– Czy bierzecie mi za złe uczucie tak naturalne w tej chwili?

– Trzeba mu liczyć za dobre, że go nam nie ukrywał – rzekł Leon Giraud – jeszcze jest szczery; ale obawiam się, aby w

przyszłości nie zaczął się nas lękać.

– Czemu? – spytał Lucjan.

– Czytamy w twoim sercu – odparł Józef Bridau.

– Jest w tobie – rzekł Michał Chrestien – pierwiastek diaboliczny, którym usprawiedliwiasz we własnych oczach rzeczy najsprzeczniesze z naszymi zasadami: miał być sofistą<sup>150</sup> myśli, będziesz sofistą uczynków.

– Och, boję się o to – rzekł d'Arthez. – Lucjanie, będziesz staczał w duchu wzniosłe dyskusje, w których będziesz wielki, a których owocem będą uczynki naganne... Nie będziesz nigdy w zgodzie z sobą.

– Na czym opieracie swój akt oskarżenia? – spytał Lucjan.

– Próżność twoja, drogi poeto, jest tak wielka, że barwisz nią nawet przyjaźń! – wykrzyknął Fulgencjusz. – Wszelka tego rodzaju próżność świadczy o straszliwym egoizmie, egoizm zaś jest trucizną przyjaźni.

– Och Boże! – wykrzyknął Lucjan. – Więc wy nie wiecie, jak bardzo was kocham?

– Gdybyś nas kochał, jak my się kochamy, czy byłbyś z takim pośpiechem i emfazą oddawał nam to, cośmy ofiarowali ci z taką przyjemnością?

– Tu nikt nic drugiemu nie pożycza, ale daje – rzekł szorstko Józef Bridau.

– Nie miej nas za twardych, drogie dziecko – rzekł Michał

---

<sup>150</sup> *sophista* (pot.) – filozof uczący fałszywej a skutecznej argumentacji bądź osoba stosująca ją. [przypis edytorski]

Chrestien – my jesteśmy tylko przewidujący. Lękamy się, iż któregoś dnia przełożysz może słodczye drobnej zemsty nad uciechy czystej przyjaźni. Czytaj *Tassa*<sup>151</sup> Goethego, największe dzieło tego szczytnego geniusza, a ujrzysz tam, że poeta lubi błyszczące materie, uczyty, triumfy, blask: otóż bądź Tassesem bez jego szaleństwa. Świat i jego uciechy będą cię wołać? Zostań tu... Przenieś w krainę myśli wszystko, czego żądasz od swojej próżności. A skoro już musisz spłacić dług szaleństwu, niech cnota będzie w twoich uczynkach, a występki w myśli, zamiast byś, jak mówi d'Arthez, dobrze myślał, a źle czynił.

Lucjan spuścił głowę: przyjaciele mieli słuszość.

– Wyznaję, że nie jestem tak silny jak wy – rzekł, rzucając im urocze spojrzenie. – Nie mam ramion i barków dość krzepkich, aby udźwignąć Paryż, walczyć jak bohater. Natura dała nam odmienne temperamenty i zdolności, a wy znacie lepiej niż ktokolwiek kulisy występków i cnót. Jestem już znużony, wyznaję.

– Będziemy cię podtrzymywać – rzekł d'Arthez – to właśnie rola wiernej przyjaźni.

– Pomoc, jaką otrzymałem, jest znikoma, jesteście wszyscy w biedzie; niebawem potrzeba znowu mnie przyciśnie. Chrestien, wynajmujący przygodnie swe pióro, nie ma wpływów w księgarstwie. Bianchon jest poza kręgiem tego rodzaju spraw.

---

<sup>151</sup> *Torquato Tasso* – sztuka Goethego z 1870, opowiadająca o XVI-wiecznym włoskim poecie, który podziwiany i wychwalany, stopniowo osuwa się w szaleństwo. [przypis edytorski]

D'Arthez zna jedynie firmy naukowe i specjalne, które nie mają nic wspólnego z wydawcami nowości; Horacy, Fulgencjusz Ridal i Bridau pracują w sferze idei będących o sto mil od wszelkiego handlu. Muszę się zdobyć na decyzję.

– Trzymaj się naszej: cierpieć! – rzekł Bianchon. – Cierpieć mężnie i ufać pracy!

– Ale to, co dla was jest tylko cierpieniem, dla mnie jest śmiercią – rzekł żywo Lucjan.

– Nim kur po trzykroć zapieje – rzekł z uśmiechem Leon Giraud – ten człowiek zdradzi pracę dla lenistwa i grzechów Paryża.

– Dokąd praca was zaprowadziła? – rzekł Lucjan, śmiejąc się.

– Kiedy się jedzie z Paryża do Włoch, nie spotyka się Rzymu w pół drogi – rzekł Józef Bridau. – Dla ciebie groszek zielony powinien rosnać już przyrządzony na maśle.

– Ten cud dzieje się tylko dla pierwородnych synów parów<sup>152</sup> Francji – rzekł Michał Chrestien. – Ale my, biedacy, siejemy groszek sami, podlewamy go i lepiej nam smakuje.

Rozmowa zesłała na żartobliwe tory; zmieniono przedmiot. Te przenikliwe umysły, te delikatne serca starały się zatrzeć małą sprzeczkę w pamięci Lucjana, który od tego czasu zrozumiał, jak trudno ich oszukać. Stopniowo ogarniała go rozpacz, którą starannie ukrywał przyjaciołom, uważając ich za nieubłaganych mentorów. Natura południowca, przebiegająca

---

<sup>152</sup> *par* – członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

tak łatwo całą klawiaturę uczuć, rodziła w nim najsprzeczniesze postanowienia.

Kilkakrotnie oświadczał zamiar rzucenia się w dziennikarstwo; zawsze przyjaciele odpowiadali:

– Niechże cię Bóg broni!

– Tam byłby grób pięknego, słodkiego Lucjana, którego znamy i kochamy – rzekł d'Arthez.

– Nie oparłbyś się ustawicznemu kontrastowi pracy i zabawy, który jest treścią życia dziennikarzy; otóż umieć się oprzeć – to podstawa cnoty. Byłbyś tak oczarowany władzą, prawem życia i śmierci nad dziełami myśli, że stałbyś się dziennikarzem w dwa miesiące. Być dziennikarzem – to dzierżyć władzę prokonsula<sup>153</sup> w republice pióra. Kto może wszystko powiedzieć, dochodzi do tego, że może wszystko zrobić. To Napoleon wyrzekł to zdanie i jest ono dość zrozumiałe.

– Czyż nie będziecie przy mnie? – rzekł Lucjan.

– Nie będziemy! – wykrzyknął Fulgencjusz. – Raz będąc dziennikarzem, tak samo nie będziesz myślał o nas, jak tancerka opery, świetna, ubóstwiana, nie myśli w wybitej jedwabiem karcie o swojej wiosce, krowach i sabotach. Aż nadto posiadasz przymiotów dziennikarza: błyskotliwość i zwinność myśli. Nie zdołasz sobie odmówić dowcipnego słówka, choćby miało wycisnąć łyzy z oczu przyjaciela. Spotygam dziennikarzy za

---

<sup>153</sup> *prokonsul* – w starożytnym Rzymie tytuł nadawany od I w. p.n.e. konsulom po zakończeniu kadencji, równoznaczny z objęciem funkcji zarządu przydzielonej prowincji, z szerokimi uprawnieniami administracyjnymi, wojskowymi i sądowniczymi. [przypis edytorski]

kulisami: wstręt budzą we mnie. Dziennikarstwo to piekło, otchłań niesprawiedliwości, kłamstwa, zdrady, której nie można przejść i z której nie można wyjść czystym, chyba mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego<sup>154</sup>.

Im więcej przyjaciele bronili Lucjanowi tej drogi, tym bardziej chęć poznania niebezpieczeństwa wabiła go; już zaczynał zadawać sobie pytanie: czy nie byłoby śmieszne dać się jeszcze raz zagarnąć nędzy, nie spróbawwszy się jej bronić? Zrażony niepowodzeniem z pierwszym romansem, Lucjan niewiele miał chęci brać się do drugiego. Zresztą, z czegoż by żył? Wyczerpał przez ten miesiąc prywatności<sup>155</sup> zapas cierpliwości. Czyż nie mógłby robić uczciwie i szlachetnie tego, co dziennikarze robią bez sumienia i godności? Przyjaciele obrażali go nieufnością, chciał im dowieść swojej siły ducha. Może zdoła im dopomóc kiedyś, stanie się heroldem ich sławy!

– Zresztą, cóż to za przyjaźń, która cofa się przed solidarnością? – spytał jednego dnia Michała Chrestien, którego odprowadził do domu w towarzystwie Leona Giraud.

– Nie cofamy się przed niczym – odparł Michał Chrestien.  
– Gdybyś miał nieszczęście zabić kochankę, pomógłbym ci ukryć zbrodnię i mógłbym cię jeszcze szanować; ale gdybyś został szpiegiem, unikałbym cię ze wstrętem, gdyż stałbyś się

---

<sup>154</sup> mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego – w *Boskiej komedii* Dantego jego przewodnikiem po piekle i czyścicu jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> prywatność – ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

podły i bezecny świadomie. Oto dziennikarstwo ujęte w dwóch słowach. Przyjaźń wybacza błąd, odruch namiętności; ale musi być nieubłagana dla rozmyślnego handlu duszą, mózgiem i myślą.

– Czy nie mógłbym zostać dziennikarzem, aby sprzedać zbiorek poezji i powieść, a później opuścić dziennik?

– Makiawel postąpiłby w ten sposób, ale nie Lucjan de Rubempré – odparł Leon Giraud.

– Dobrze więc – wykrzyknął Lucjan – dowiodę wam, że umiem być Makiawelem.

– Ha – wykrzyknął Michał, ściskając rękę Leona – zgubiłeś go tą uwagą! Lucjanie – rzekł – masz trzysta franków, to znaczy życie bez troski przez trzy miesiące; pracuj, napisz drugi romans, d'Arthez i Fulgencjusz pomogą ci stworzyć plan; pogłębisz się, będziesz powieściopisarzem. Ja zapuszczę się w te lupanary<sup>156</sup> myśli, zostanę dziennikarzem na trzy miesiące, sprzedam twoje książki jakiemuś księgarzowi, napadając na jego wydawnictwa, napiszę ci recenzje, zdobędę je dla ciebie; zorganizujemy triumf, będziesz wielkim człowiekiem, a zostaniesz naszym Lucjanem.

– Nisko mnie cenisz, sądząc, iż zginę tam, skąd ty wyjdiesz cało – rzekł poeta.

– Przebacz mu, dobry Boże, to dziecko! – wykrzyknął Michał.

Rozszerzywszy swój horyzont dzięki wieczorom u d'Artheza, Lucjan wziął się do studiowania konceptów i artykułów na szpaltach małych dzienniczków. Pewien, że jest co najmniej

---

<sup>156</sup> *lupanar* (daw.) – dom publiczny. [przypis edytorski]

równy najzdolniejszym w tym zakresie, próbował się sekretnie w tej gimnastyce myśli. Wreszcie jednego ranka wyszedł z triumfalną myślą poproszenia o służbę u jakiego pułkownika tych lekkich szwadronów prasy. Włożył najwykwintniejsze szaty i minął most z nadzieją, iż autorzy, dziennikarze, pisarze, słowem: przyszli koledzy, okażą więcej czułości i bezinteresowności niż dwa typy księgarzy, o których rozbiły się jego złudzenia. Spotka się zapewne z sympatią, z braterstwem, tak jak je znalazł przy ulicy des Quatre-Vents. Wydany na pastwę wzruszeń i przecuć, to zwalczanych, to zwyciężkich, tak pełnych uroku dla poety, przybył na ulicę Saint-Fiacre, opodał bulwaru Montmartre, pod dom, gdzie mieścił się lokal dzienniczka. Serce biło mu niby młodemu człowiekowi wchodzącemu w bramę podejrzanego domu. Mimo to wszedł do biura położonego na półpiętrze. W pierwszym pokoju, przedzielonym na dwie części przepierzeniem skleconym częściowo z kraty, częściowo z desek, a sięgającym aż do sufitu, zastał inwalidę, który jedyną ręką przytrzymał na głowie pakę papieru, w zębach zaś trzymał książeczkę kontrolną urzędu stemplowego. Ten biedny człowiek, o żółtawej, usianej czerwonymi pryszczami twarzy, która mu zyskała epitet Pomidora, wskazał Lucjanowi cerbera<sup>157</sup> siedzącego za kratą. Był to stary oficer, z wstążeczką Legii<sup>158</sup>,

---

<sup>157</sup> *Cerber* (mit. gr.) – trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *Legia Honorowa* – najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

o krzaczastych, siwiejących wąsach, w czarnej jedwabnej czapeczce na głowie, zatulony w obszerny niebieski surdut niby żółw w skorupę.

– Od którego dnia życzy sobie szanowny pan abonament? – spytał ów oficer Cesarstwa.

– Nie przychodzę po abonament – odparł Lucjan.

W tej chwili poeta spostrzegł nad drzwiami, naprzeciw wejścia, kartę, na której były te słowa:

### BIURA REDAKCJI

poniżej zaś:

### WSTĘP PUBLICZNOŚCI WZBRONIONY

– Jakaś reklamacja? – podjął napoleończyk. – Och, tak; byliśmy ciężcy dla panny Mariety. Co pan chce? Ja sam nie wiem czemu. Ale jeżeli panu chodzi o satysfakcję, jestem gotów – dodał, spoglądając na floretty i pistolety, nowoczesny ryszunek rycerski, dekoracyjnie umieszczony na ścianie.

– Ani to, szanowny panie. Pragnąłbym mówić z naczelnym redaktorem.

– Nie ma tu nigdy nikogo przed czwartą.

– Słuchaj no, mój stary Giroudeau, wypada mi jednaście kolumn, które po pięć za sztukę czynią pięćdziesiąt pięć franków; dostałem czterdzieści; winien mi jesteś jeszcze piętnaście franków, jak ci mówiłem...

Słowa te wyszły z małej, lisiej twarzy, bezbarwnej jak żele ugotowane białko. Jasnyniebieskie oczki iskrzyły się

groźną złośliwością i sprytem. Wszystko to należało do szczupłego młodego człowieka, ukrytego poza korpulentną postacią ekswojskowego. Głos ten zmroził Lucjana, miał coś z miauczenia kota i z astmatycznego dławienia się hieny.

– Tak, młody milicjancie – odparł pensjonowany oficer – ale ty liczysz tytuły i „białe”<sup>159</sup>: otóż mam rozkaz Finota zsumować ilość wierszy i podzielić je przez ilość przepisaną dla jednej kolumny. Po dokonaniu na twoich płodach tej bolesnej operacji okazało się o trzy kolumny mniej.

– Nie płaci szpeku<sup>160</sup>, opryszek! Ale liczy go współnikowi w koncie wierszowego. Pójdę porozumieć się ze Stefanem Lousteau, z Felicjanem...

– Cóż robić! Rozkaz to rozkaz, mój mały – rzekł oficer. – Jak to! O piętnaście franków podnosisz wrzask przeciw swej żywicielce, ty, który kropisz artykuły tak łatwo, jak ja palę cygaro! Ech, zapłacisz jedną wazkę ponczu mniej swoim kompanom albo wygrasz jedną partię bilardu więcej i już rzecz wyrównana!

– Finot robi oszczędności, które wypadną mu bardzo drogo – odparł dziennikarz, wstając i opuszczając biuro.

– Nie powiedziałyby kto, że to sam Wolter i Rousseau w jednej osobie? – rzekł do siebie kasjer, spoglądając na poetę z prowincji.

---

<sup>159</sup> *białe* (żarg. drukarski) – pusta, niepokryta drukiem część wiersza. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *szpek* (żarg. drukarski, z niem. *Speck*: słonina) – pełne wynagrodzenie płacone za skład niepełnego wiersza, tylko częściowo wypełniającego kolumnę druku. [przypis edytorski]

– Wróć około czwartej, proszę pana – rzekł Lucjan.

Podczas tej sprzeczki Lucjan ujrzał na ścianach portrety Beniamina Constanta<sup>161</sup>, generała Foy<sup>162</sup>, siedemnastu słynnych mówców liberalnych, wiszące między antyrządowymi karykaturami. Patrzył zwłaszcza na drzwi sanktuarium: tam musiał się rodzić dowcipny dzienniczek, który bawił go co dzień i który cieszył się przywilejem ośmieszania królów, najpoważniejszych wydarzeń, słowem, zaczepiania wszystkiego zręcznym konceptem. Lucjan poszedł wałęsać się po bulwarach. Przyjemność ta, zupełnie dlań nowa, pochłoneła go tak, iż ujrzał na zegarze czwartą, nim mu na myśl przyszło, że jeszcze nie śniadał. Wrócił szybko na ulicę Saint-Fiacre, wszedł na schody, otworzył, nie znalazł na dawnym miejscu starego żołnierza; inwalida natomiast siedział na pace stemplowanego papieru<sup>163</sup>, zajadając kromkę chleba i strzegąc posterunku z miną pełną rezygnacji, podwładny dziennikowi jak niegdyś pańszczyźnie, tak samo nie rozumiejąc jego organizmu, jak niegdyś nie

---

<sup>161</sup> *Constant, Benjamin* (1767–1830) – polityk i pisarz francuski, autor m.in. powiastki *Adolf* i licznych dzieł z zakresu filozofii politycznej. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *Foy, Maximilien Sébastien* (1775–1825) – francuski dowódca i polityk; generał napoleoński, walczył w Portugalii, w Hiszpanii i pod Waterloo; w 1819 wybrany do parlamentu, odznaczył się jako mówca i stał się liderem liberalnej opozycji. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *stemplowany papier* a. *stemplowy papier* – czysty papier opatrzony stemplem rządowym, sprzedawany przez organ państwowy. Dawniej używany do pobierania podatku od sporządzanych umów i zobowiązań prywatnych, dokumentów sądowych, podań do władz itp. Niekiedy wymagano go także na drukowanych egzemplarzach kart do gry, kalendarzy lub książek. [przypis edytorski]

rozumiał nagłych obrotów nakazanych przez cesarza. Lucjan powziął szybką myśl oszukania tego groźnego funkcjonariusza: przeszedł, nie zdejmując kapelusza, i otworzył, jakby u siebie w domu, drzwi do sanktuarium. Chciwe jego oczy ujrzały okrągły stół pokryty zielonym suknem i sześć giętych wyplatanych krzeseł z wiśniowego drzewa, ni zdradzających śladów zużycia. Malowana podłoga, mimo że niefroterowana, była czysta, co dowodziło, iż frekwencja publiczności musiała być dość skąpa. Na kominku lustro, pospolity zakurzony zegar, dwa świeczniki, w które jakaś ręka brutalnie wetknęła świece, wreszcie porzucane karty wizytowe. Na stole stare dzienniki pomięte dokoła ozdobionego zużytymi piórami kałamarza, w którym błyszczał wyschnięty atrament, podobny do laki. Na świsłkach ujrzał jakieś artykuły nagryzłone nieczytelnym, prawie hieroglificznym pismem, przedarte u góry przez zecerów, którym ten znak służy do poznawania skryptów już złożonych. Następnie tu i ówdzie na szarych skrawkach mógł podziwiać karykatury, narysowane dość sprytnie przez ludzi, którzy bez wątpienia starali się zabić czas, zabijając coś lub kogoś dla wprawy. Na zielonkawym obiciu ujrzał dziewięć rysunków piórem, przypiętych szpileczkami, a będących pamfletem na *Samotnika*, książkę zażywającą w tej chwili w Europie niesłychanego sukcesu, który musiał nużyć dziennikarzy. „*Samotnik* na prowincji doprowadza kobiety do szału. – Wspólne czytanie *Samotnika* w zamku. – Działanie *Samotnika* na zwierzęta domowe. – Wykład o *Samotniku* u dzikich ludów

osiąga najświetniejszy sukces. – *Samotnik* przełożony na chiński i przedstawiony przez autora cesarzowi w Pekinie. – Elodia gwałcona przez Dziką Górę”. Ta karykatura zdała się Lucjanowi bardzo nieprzyzwoita, ale zabawiła go. „*Samotnik* oprowadzany przez dzienniki pod baldachimem. – *Samotnik*, rozsądziwszy prasę, kaleczy personel drukarni. – Czytany na wspan, *Samotnik* zdumiewa akademików niepospolitymi pięknosciami”. Lucjan ujrzał na opasce dziennika rysunek przedstawiający dziennikarza wyciągającego kapelusz, a pod tym: „Finot, moje sto franków!” podpisane nazwiskiem, które stało się później głośne, ale które nigdy nie będzie znakomite. Między kominkiem a oknem stał niski sekretarzyk, mahoniowy fotel, kosz na papiery i wąski dywanik: wszystko pokryte gęstą warstwą kurzu. Okna z tanią firaneczką. Na wierzchu sekretarzyka około dwudziestu dzieł złożonych w ciągu dnia: ryciny, nuty, tabakierki z miniaturą konstytucji, egzemplarz dziewiątego wydania *Samotnika*

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.